

PROLOG

„Zwyczaj widmo śmierci sprawia, że bardziej szanujemy życie.”

Londyn, 1878;

Chłodny wiatr zostawia na skórze dreszcz, przenika przez ubranie, drażniąc każdy nerw w ciele. O tej porze ludzie nie chodzą po ulicach, przynajmniej bardzo się starają, najmniejszy szmer może oznaczać coś obcego, obiekt, który może skrzywdzić.

Dwójka młodych ludzi biegnie ulicą, a kolejna trójka albo również ucieka albo próbuje ich złapać. Nie potrafię dostrzec nic z takiej odległości, choć wiem, że niosą to, czego potrzebuje Starszyzna. Albo raczej niesie to kobieta. To jej dziecko, mała istotka w jej brzuchu jest niezbędną dla najstarszych członków. Wojna z Zakonem jeszcze się nie skończyła, a choć średniowiecze jest już dawno za nami, to zagorzali Katolicy dalej walczą tylko, dlatego, że usłyszeli zmyślane historie od swoich dziadków. To niezbyt wyszukany powód.

Kobieta wraz z pozostałą czwórką (najwidoczniej jednak tworzą grupę) biegnie prosto w moją pułapkę. Lodowate powietrze wywołuje kolejne dreszcze, poły mojego płaszcza rozwiewają się na boki. Jeszcze tylko kilka sekund. Za chwilę znajdą się w zaułku, a ja w końcu zyskam to, na co zasługuję od dawna.

Mężczyzna idący obok kobiety wychodzi na przód i właśnie w tym momencie mogę z satysfakcją patrzeć jak jego ciało przeszywa miecz jednego z moich ludzi. Reszta rzuca się do ucieczki. Podobno to my jesteśmy potomkami diabła, ale nasze społeczeństwo nie ucieka, trwamy do końca, choćby to miało się skończyć śmiercią.

Dawin, Jeassmine i Dwayne (moi kochani podwładni) otaczają uciekinierów, więc teraz mogę wkroczyć ja. Jeden z wyższych generałów Starszyzny. Zeskakuję z balkonu na miejski bruk, w miejscu zasadzki na małą grupę ludzi.

Czuję, że stoję teraz przed nimi jak anioł śmierci; wysoki, ciemno ubrany, zwiastujący zbliżający się koniec. Chwytam ciężarną kobietę albo raczej dziewczynę; może mieć maksymalnie osiemnaście lat. Biję od niej jakaś energia, a ja już wiem, czym jest to spowodowane. Dlatego Starszyzna jej chce, potrzebuje.

Dziewczyna wrywa się w moich rękach, gryzie i drapie, tak, że mam ochotę po dziesięciu metrach ją unieszkodliwić. Muszę, jednak wykonywać instrukcje tych wyżej postawionych, więc zdaję się na łaskę losu. Słyszę tylko jak towarzysze dziewczyny wydają ostatnie tchnienie, ona też to czuje i wie. Brunet, który trzymał się z tyłu, upada, a wtedy z gardła tej małej wydobywa się zwierzęcy odgłos. Czyli znamy tatusia.

Wpycham ją do powozu; brakuje mi tylko tego, żeby ktoś ją usłyszał albo, co gorsza, pojawił się ktoś z Zakonu. Ciężarna kuli się w kącie i dopiero teraz zwracam uwagę na to, jak wygląda. W świetle księżyca widać jej kasztanowe włosy są w lekko srebrzystym odcieniu, a zielone oczy ma zaszklone od łez. Wydaje się zbyt drobna jak na kobietę w ciąży, brzuch wygląda jak doczepiony.

- Dokąd mnie zabieracie? – ma piskliwy i zapłakany głos; zapewne boi się o swoje życie. I słusznie. Nasza „organizacja” jest zgromadzeniem... cóż... potomków diabła. Nie z byle powodu nazywamy się *Infernum*. Ludzie mówią, że siejemy strach i spustoszenie, choć każdy z nas ma o sobie inne mniemanie. Należę do tych, którzy zdają sobie sprawę z tego, kim jesteśmy. *Zabójcy. Prześladowcy*. Tym jesteśmy.

Staram się odpowiednio zmienić barwę głosu, ona nie może się bać.

- Jedziemy do Walii. Chcemy Cię chronić przed organizacją zwaną Zakonem. Oni chcą zabić twoje maleństwo, bo myślą, że to dziecko diabła.

Nie ważne, że my też chcemy wykorzystać twoje dziecko. To nie istotne, musisz uwierzyć, że to oni są źli.

- Rozumiem, pomożecie mi, tak?

- Oczywiście...

Mówią, że życie to być albo nie być, każdy pozostawia ślad na ścieżce swojego losu, dla swoich potomków. Niektórzy zostaną zapamiętani na wieki. Inni znikną wraz w pamięci innych. Popełniamy błędy, jesteśmy beznadziejnymi istotami, którzy zabijają się bez powodu. Kiedyś jednak nadejdzie czas, gdy wszystko się ułoży. Nadchodzi nowe milenium, nowa era, a wtedy wygrają tylko najlepsi, zniszczymy się wzajemnie, ale zostaniemy zapamiętani na wieki...

ROZDZIAŁ 1

„Kropla drąży skałę nie siłą, lecz ciągłym padaniem.”

Nowy Jork, teraźniejszość;

Wbiegam na niewielki dach, który stanowi jedyną drogę ucieczki. Jeśli Francis znów zobaczy, że nawaliłam, utnie mi głowę. Czarny płaszcz zaczyna ciążyć mi na plecach, gdy zaczyna padać deszcz.

Jeszcze tego brakowało!

Moje dłonie zaciskają się w pięści. Przecież dam wygrać Zakonowi, jeśli nie uwolnię tego typu spod ciemnej gwiazdy. Zastanawiam się, czy mój tata dobrze zrobił zapisując siebie i mnie do tego całego Infernum. Zaraz po śmierci mamy, czyli dwa lata temu, znalazłam się w ich siedzibie. Zaczęłam treningi, a moje poprzednie życie przestało istnieć.

Wszystko, co związane z ich dziwnymi rytuałami, setkami niezrozumiałych słów, czy nawet samym ich wyglądem jest przerażające. Każdy członek Infernum wygląda, jakby miał ze sto lat, a jedyną młodą osobą jestem ja i Owen. Dlatego, to my jesteśmy wysyłani na różnego rodzaju misje ratunkowe, gdzie mamy uwolnić spod rąk Zakonu, tak zwanego, *Alfę*.

Słuchając, czegokolwiek, związanego z Alfą, mam wrażenie, że to jakieś guru Starszyny. A przecież ci faceci mają po jakieś dziewięćdziesiąt czy nawet sto lat! Gdy o Nim (słysząc w ich głosach, że wymawiają to z wielkiej litery, jak imię jakiegoś bóstwa) opowiadają, wyobrażam sobie zgarbionego mężczyznę z łysinką. Jednak nikt nie widział go od piętnastu lat, właśnie wtedy Zakon go porwał. Wolę nie wiedzieć, co robili z nim od tamtego czasu.

Biegnę po gzymsie, kiedy tuż za plecami mam kilku mężczyzn ubranych w granatowe szaty (to między innymi odróżnia nas od siebie: Zakon nosi granatowe szaty, a Infernum, a jakże, czarne). Moim aktualnym celem (oprócz powrotu do normalnego życia) jest zeskok na pobliski dach. Śliska nawierzchnia nie ułatwi mi sprawy, ale mam za sobą wiele intensywnych treningów, więc mam cichą nadzieję na sukces.

Wykonuję skok i, oczywiście nie mogło być inaczej, zamiast wylądować pięknym stylem na dachu, ześlizguję się z krawędzi i spadam sześć pięter w dół. W takich momentach kocham to, co potrafię zrobić.

Zamykam oczy i teleportuję się na chodnik, a potem na dach (teraz zdaję sobie sprawę, że mogłam przenieść się tu od razu).

W tym czasie, mężczyźni z Zakonu zdążyli już zniknąć (zapewne myślą, że wacham kwiatki od dołu), a ja wracam do siedziby Infernum.

Po raz kolejny wysłali mnie w rejony siedziby Zakonu. Nie jest to najprzyjemniejsze miejsce; stary kościół protestancki z elementami barokowej architektury. Ale jaka organizacja, taka siedziba.

Moim celem było ustalenie, na jakim piętrze znajduje się Alfa i co z nim robią. Wydaje się, że to łatwe zadanie, ale wcale takie nie jest.

Zakon chroni się czarami przed intruzami, więc gdy tylko próbowałam wejść na ich teren, zaraz musiałam uciekać przed pościgiem.

Mam przechłapanie!

Budynek Infernum od zewnątrz wygląda trochę jak stary, opuszczony zameczek, wokół którego trawa, magicznym sposobem, wcale nie rośnie. Za to w środku jest to niebywała, nowoczesna i świetnie wyposażona budowla, która bez większych konkurencji mogłaby zmieść swoim kunsztem największe arcydzieła architektury. Marmur razi w oczy w prawie całym wnętrzu, a chłód bijący od ścian tylko potęguje efekt grozy, jaki wywierają na mnie członkowie Infernum.

Sala, w której odbywają się zebrania Starszyny, nazywana jest Diamentową. Powodem tego, jakże niefortunnego, nazewnictwa sali jest milion diamentowych punkcików na suficie. Nieistotnym dla Starszyny faktem jest, że te małe punkciki to tak naprawdę sztuczne akwamaryny, ale przecież Sala Diamentowa brzmi tak... bogato.

Gdy wchodzę do Sali Diamentowej, Owen tłumaczy się z tego, dlaczego nie wykonał misji i skąd, wzięły się u niego te liczne rany, które widzę nawet przy drzwiach. Mój krok jest ociężały, ja jestem mokra, ale przynajmniej niedrażnięta, czego nie mogę powiedzieć o moim ogromnym przyjacielu.

Gdy miałam piętnaście lat, chłopcy w mojej szkole wyglądali jak nędzne szczury. Kiedy poznałam Owena, był już postawnym osiemnastolatkiem. Miał szerokie ramiona, umięśnione nogi i siłę, jakiej zazdrościłby mu każdy chłopak w mojej szkole. Teraz wyglądał tak samo, jak wtedy, tyle że z zarostem.

Jego blond włosy zlepily się od krwi, a zielone oczy, aktualnie, spoglądają na mnie z bólem. Miał nadzieję, że chociaż ja dałam radę; niestety, mnie także się nie udało.

Jak zwykle.

- Jeśli masz zamiar powiedzieć, że Ci się nie udało, Phoebe, to dobrze radzę. Wyjdź!

Wycofuję się z pomieszczenia, nie brakuje mi przecież zdrowego rozsądku. Nie mam ochoty słuchać, jaka to jestem niekompetentna, beznadziejna i jeszcze inne, które przyjdą na myśl Ragnorowi.

Ragnor Crewley jest jednym z członków Starszyny (nie mówi tego wprost, ale podejrzewam, że uważa się za ich Przywódcę). Podejrzewam u niego ostry ubytek osobowości, gdyż potrafi jedynie wrzeszczeć oraz udawać, że wszystko jest w porządku, choć tak naprawdę, nic nie idzie po jego myśli. Tak jak teraz.

Już trzymam klamkę drzwi, kiedy odzywa się stary dziadek po prawej stronie Ragnora (nic nie poradę na, to że nie potrafię zapamiętać jego imienia).

- Myślę, że Phoebe, powinna nam w końcu wyjaśnić powód swojego niepowodzenia. Przecież masz tą swoją super moc, tak samo z resztą jak Owen.

Tak, zapomniałam o tym, że Owen też ma super moc – telekineza. Super sprawa, chętnie bym się z nim zamieniła, ale potrafię się chociaż teleportować, więc nie powinnam narzekać.

Biorę głęboki wdech. Teraz albo nigdy.

- Zakon ma czary ochronne wokół budynku.

Tak, wreszcie to powiedziałam.

Wiedziałam o tym od jakiegoś czasu, jednak Crewley tak mnie przeraża, że bałam się powiedzieć, choćby jedno maleńkie słówko na ten temat.

Wszyscy spoglądają na mnie jak na chorą psychicznie, w sumie im się nie dziwię. Niezła sztuczka, żeby usprawiedliwić swoją porażkę.

Widzę podnoszącą się do góry burzę czarnych włosów, przechodzi mi po plecach zimny dreszcz. Nie należę do osób, które mocno przejmują się opinią innych, ale jednak. Gdy w grę zdanie mojego taty, cóż, sytuacja zmienia się drastycznie.

Jego zimne, brązowe oczy wpatrują we mnie intensywnie, przez co zaczyna mi powoli brakować tchu (przestałam wdychać powietrze). Jego postawna, prawie dwumetrowa sylwetka staje wyprostowana przy stole Starszyny.

Dostał miejsce w podstawowym składzie Starszyny, po to, by członkowie Infernum mogli użyć mnie jako *Poszukiwacza Alfy*. Nie ważne, że mam dopiero siedemnaście lat i za każdym razem psuję wszystko po całości. To nieważne.

- Phoebe, jesteś pewna? Może coś Ci się przywidziało?

Biorę kilka głębokich wdechów, żeby uspokoić oddech i głos. Przecież nie krzyknę na własnego ojca, który na dodatek jest członkiem Starszyny.

Muszę się uspokoić, tylko to może mnie ocalić.

- Przecież wiesz, że potrafię też wykryć magię. Czuję ją, wokół całego budynku.

Ojciec nie ufa mi, odkąd mama umarła. Mówi, że jestem zbyt do niej podobna: te same niebieskie oczy, miliony pofalowanych, czarnych włosów. To był dla niego duży cios, a ja ciągle mu o tym przypominam. Samym wyglądem.

Przecież ludzie potrafią pogodzić się z pustką w sercu. Zalepiają ją po kilku miesiącach, jakby nic się wielkiego nie stało. Trzeba żyć dalej, choć brak bliskiej osoby jest odczuwalny przez dłuższy czas, jednak nie da się żyć tylko przeszłością. To niszczy nas - ludzi od środka, nie pozwala ruszyć naprzód bez bolesnych wspomnień. Czasem wskazane jest pogodzenie się ze śmiercią, każdego z nas to czeka.

Tacie niezbyt to wychodzi.

- Phoebe, wróć do pokoju, ty Owen też. Musimy się naradzić.

Jeśli coś się zaczyna psuć, kolejne ciągną się za tym w nieskończoność. Życie pełne niepowodzeń; tak to zdecydowanie coś o mnie.

Mój pokój to jedno z niewielu pomieszczeń, które nie wygląda jak z XVIII w. i jest dostosowane do moich potrzeb. Sama go urządziłam, co nie było na rękę Ragnorowi.

Jak wszystko, co robię.

Szare ściany z lawendowym akcentem, białe meble, tak jak i łóżko oraz wielkie biurko, zdecydowanie nie przypadły do gustu Starszynie, ale czego nie robi się dla jednego z dzieci z magiczną mocą?

Jeśli mam być szczerą, nigdy nie wierzyłam, aby była kimś wyjątkowym, zasługującym na uznanie. Nigdy nie wyróżniałam się z tłumu, jednak w wieku trzynastu lat zaczęło się ze mną dziać coś dziwnego. Wyczuwałam wokół siebie nieznaną wibrację (i to dosłownie), zawsze wtedy huczało mi w skroniach i miałam zawroty głowy.

Gdy miałam piętnaście lat, zaraz po tym jak tata zapisał nas do Infernum, przeniosłam się, po raz pierwszy, ze swojego pokoju do jadalni. Nazwali do moja pierwszą „podróżą”. Jakby takie przemieszczanie się można było nazwać podróżą, ja

nazwałabym to raczej „dziwnym schorzeniem o niewyjaśnionym przebiegu”. Nie panowałam nad tym przez długi czas, dopiero pół roku temu Francis – mój nauczyciel nauczył mnie opanować moją „moc”.

Wyjmuję z szuflady za dużą koszulkę i bokserki; to był zdecydowanie za długi dzień i aktualnie planuję długą kąpiel w pomarańczowym płynie do kąpieli. Szuflada zamyka się z trzaskiem, w tym samym momencie, gdy Owen trzaska drzwiami.

- Nie umiesz pukać, człowieku?

Jego uśmiech jest jedną z niewielu pozytywnych rzeczy w tym miejscu. Mimo tej całej nowoczesności czuję się tu jak w więzieniu; czasem tęsknię nawet za szkołą, co powinno już niepokoić światowych psychologów.

- Nie muszę, gdy chodzi o sprawę życia i śmierci, nie uważasz?

Jakiś czas temu zauważyłam, że wszystko, co związane z Owenem jest sprawą życia i śmierci. To takie typowe dla facetów. Chyba...

- Co tym razem, wielkoludzie?

- Po pierwsze... nie wielkolud tylko człowiek z dziwnym wzrostem, a po drugie może z łaski swojej zabandażowałambyś mi mój zakuty łeb?

Uśmiech sam wyrzywa mi się z gardła, gdy słyszę to określenie. Powiedziałam tak na niego na pierwszym treningu, gdy dostał od Francisza w głowę i nawet się nie przewrócił.

- Daj to. Twój zakuty łeb tym razem nie dał rady?

- To nie jest śmieszne, Phoebe. Jakiś koleś z Zakonu walnął mi maczugą w głowę.

Przerywam oczyszczanie rany (ależ ze mnie sanitariuszka, nawet wiem, że trzeba najpierw wyczyścić ranę; dobrze, że mam wodę utlenioną w pokoju) i patrzę na niego dziwnie. Maczugą? Czy my żyjemy w czasach pierwotnych ludzi??? „Ja być Phoebe”?

- Owen, może naprawdę za mocno oberwałeś?

Chłopak przekręca się niespokojnie w moją stronę. Mam wrażenie, że jego zielone oczy zaraz wypalą mi dziurę w czaszce.

- Nie wartuję! To była maczuga, taka z drewna... no wiesz, jak wygląda.

- Dobra wierzę Ci. To za Tobą latał koleś z maczugą, a ja ledwo uciekłam gościom z pistolecikiem i czarną magią w zanadru. Jeżeli ktoś powie, że życie jest sprawiedliwe, osobiście utnę mu głowę.

- Zajmij się moją biedną głową, co?

Szybko opatruję mu rozciętą czaszkę, na koniec dając buziaka w czoło. Zawsze tak robimy, gdy komuś coś się stanie. Takie słodkie przyzwyczajenie z czasów dzieciństwa. Przyzwyczajenia z dziecięcych lat wzięły górę, a dzięki temu staliśmy się jak rodzeństwo. Nie z krwi, ale z wyboru. Tak, jesteśmy wyjątkowym "rodzeństwem".

- Idź spać, mała. Jutro oficjalnie będziemy martwi, bo Starszyczna, albo raczej Ragnor, nas zabije.

- Będę pamiętać. Na razie, Owen.

- Dobranoc, Phoebe.

Biorę szybki prysznic i kładę się do łóżka. To byłoby tyle z mojej długiej kąpieli.

Chyba dziś nie zasnę.

Wielka sala, której nigdy wcześniej nie widziałam, pojawia się przede mną jak ląd wśród wszechobecnego morza. Są tu wszyscy: moi starzy znajomi ze szkoły, rodzina, Starszyzna (no serio?), tata i mama oraz jakiś obcy chłopak. Jest starszy ode mnie o jakieś dwa lata, na głowie ma burzę czarnych jak smoła włosów oraz nienaturalnie niebieskie oczy.

Może to moja męska wersja?

Jednak to nie on interesuje mnie najbardziej. Tym kimś jest *mama*.

Stoi w pięknej czarnej sukni balowej, oparta o krzesło taty. Taty, który się uśmiecha. Nie muszę do nich podchodzić, wystarczy to, że ją widzę. Żywa, śmiejącą się, kochaną mamę; mamusię, która zostawiła mnie dwa lata temu.

W moich oczach pojawiają się łzy, bo przecież mama umarła na raka, ona nie może tu być.

To sen...

Biegnę w jej kierunku i rzucając się jej na szyję. Nie byłam świadoma tego, jak bardzo za nią tęsknię. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak bardzo zmieniło się moje życie, odkąd jej nie ma.

- Mamusiu...

- Hej, kochanie. Znalazłaś Alfę?

Patrząc na nią jak na UFO. Czy Ona spytała się mnie o Alfę?

- Skąd...

- Szukaj u źródła. To najlepsza i najprostsza droga.

- Mamusiu...

- Poznaj Willa.

Odwracam się i widzę tego nieznanego chłopaka. Wracam wzrokiem w kierunku mamy, ale jej już nie ma. Zniknęła.

- Witaj w Infernum...

Nie mam pojęcia, jak głośno krzyczę, ale tata zjawia się przy mnie w bardzo krótkim czasie. Jak to możliwe?

Nadal jest w czarnym płaszczu Infernum i ma zaniepokojony wyraz twarzy. Przytula mnie do siebie, jak wtedy gdy byłem dzieckiem. Brakuje tylko mamy...

- Co się stało? Krzyczałaś tak, że słyszeliśmy Cię w Sali Diamentowej.

Na tym polega wada położenia mojego pokoju; znajduje się nad samą Salą Diamentową, więc gdybym chciała iść na „imprezę”... cóż to odpada.

- Miałam okropny sen. Tato, chciałabym Cię zapytać o coś...

- Śmiało, kochanie.

- Kim jest Alfa? Nie mam pojęcia, kogo mam szukać, jak On wygląda. Może widziałam go już wiele razy, jednak nie wiedziałam, że to On. W ten sposób na pewno szybko Alfę nie znajdę. Tato?

- Wiem nie dużo więcej niż Ty, kochanie. Jedyne, czego się dowiedziałem to fakt, że Alfa ma sto trzydzieści sześć lat i ma czarne włosy. Tyle wiem.

- Ile lat? I jeszcze ma czarne włosy? Staruszek musi używać świetnego szamponu.

- Phoebe, to nie jest śmieszne. Oni chcą zrobić coś strasznego, jeszcze nie wiem, co, ale to na pewno jest związane z Alfą i jego poszukiwaczami, czyli Tobą i Owenem. Jeśli się czegoś dowiem, powiem Ci wszystko, córeczko.

- Ale czemu? Przecież ja przypominam Ci mamę i mnie nie cierpisz.

- To, że przypominasz mamę, nie znaczy, że Cię nie cierpię. Kocham Cię, córeczko i nie chcę, żeby coś Ci się stało. Nie teraz, gdy masz dopiero siedemnaście lat.

- Też Cię kocham, tatusiu.

Od wielu miesięcy nie rozmawiałam tak z tatą. Teraz, gdy przytula mnie jak wtedy, gdy byłam mała, czuję ucisk w sercu, a w brzuchu pojawia się przyjemne ciepło. Zawsze tak miałam, gdy przebywałam z rodzicami: przyjemne ciepło rozchodzące się z brzucha, które docierało nawet do najdalszych krańców ciała. Chyba to się nazywa poczucie bezpieczeństwa i miłość rodzinna.

Nie czułam tego tak dawno, że teraz ma wrażenie, jakby moje ciało miękło. Może jednak jest szansa na życie jak w normalnej rodzinie; bez przejmowania się Starszyzną i całą tą dziwną organizacją. Mamy z tatą szansę na odbudowanie naszych rodzinnych relacji, może tak naprawdę ona była przy nas zawsze, tylko my nie mieliśmy odwagi jej rozpoznać. Nasze życie jest bardzo skomplikowane, ale po pewnym czasie można się do tego przyzwyczaić, a może nawet zrozumieć...

Trening z Francisem nie należy do najłżejszych, ale po dwóch latach da się przywyknąć. Może nie jesteśmy z Owenem idealnymi uczniami, ale nasz trener też do ideałów nie należy; krzyk, jaki stosuje na naszej dwójce, często słychać nawet w najniższych partiach budynku (do których, oczywiście, nie mamy wstępu). Dzisiejszy trening nie jest wyjątkiem, a moje zmęczenie, związane z źle przespaną nocą, daje się we znaki. Nie potrafię skupić się na prostym ćwiczeniu, związanym z nową techniką samoobrony. Czuję „w kościach”, że zaraz usłyszę głośny krzyk Francisza.

- Phoebe, co się z Tobą dzieje?! Ruszaj się!

Wykrakałaś, idiotko.

Przecieram zaspane oczy i próbuję skupić się na rozstawieniu nóg w odpowiedniej odległości oraz na szybkich ruchach Owena. Dziś jest zdecydowanie szybszy niż zwykle, choć to raczej wina mojego niewyspania. Gdy próbuję zablokować jego cios, dostaję w twarz jego ogromną pięścią.

Jeszcze tego mi brakowało... podbitego oka i potłamanego nosa.

Nie mam siły podnieść się z maty, więc leżę dalej, trzymając rękę przy nosie i oku. Owen szybko klęka obok mnie z przerażoną miną, chcę mu powiedzieć, że nic mi nie jest, ale jakoś nie mam na to siły. Głowa mi pulsuje, a na dłoni czuję płynącą ciecz. Odsuwam rękę od twarzy i jest tak jak podejrzewałam; jest cała we krwi.

- Nie ruszaj się, Phoebe!

Jakby miała chociaż na to ochotę. Albo siłę. Jednak ja nawet nie chcę się poruszać, czuję jedynie dziwne wibracje wokół siebie. Wokół Owena pojawia się jasna struga światła; czyżby moja moc się wzrosła w siłę?

- Nie zamierzałam, Owen. Po prostu boli mnie głowa i jestem niewyspana. To nic wielkiego.

Francis pojawia się przy nas w niewiarygodnie szybkim tempie (może on też ma super moce? Superszybkość? Bardzo możliwe) i podaje mi szklankę wody. Wypijam ją drobnymi łykami, czując w ustach posmak słonej krwi. Nawet tam się dostała.

- Co Ci jest, Phoebe?

Staram się lekko podnieść, ale jak tylko to robię, pulsuje mi w głowie.

- Nie wyspałam się, a teraz oberwałam pięścią. Jeszcze się dziwicie, że jestem odrętwiała i spowolniona?

Szybko się podnoszę, to najlepsze wyjście. Jeśli będę się cackać i użalać nad sobą to może skończyć na tym, że będę tak leżeć do wieczora. Kręci mi się w głowie, ale udaję twardą, nie chcę, żeby pomyśleli, jaki to ze mnie mięczak. I tak cała Starszyzna jest na mnie cięta.

- Kontynuujemy.

- Ale Phoebe...

- Owen, zamknij się!

Drzwi pomieszczenia trzaskają tak głośno, że przechodzi mnie zimny dreszcz. Ciężkie kroki rozbrzmiewają donośnym głosem, nawet na drewnianej podłodze. Już wiem, kto nas odwiedził. Sam Ragnor Crewley.

Lepiej już być nie może!

Czarna peleryna, narzucona niedbale na czarny garnitur, ciągnie się za nim niczym welon za panną młodą (szkoda tylko, że to nie ten kolor).

Jego zimny wzrok bada całe pomieszczenie (najwidoczniej nigdy tu nie był; jaka niespodzianka), jednak szybko wędruje ono w naszą stronę. Gdy patrzy w moją stronę, mam ochotę na ucieczkę. Jego oczy mają kolor lodu, jakby ktoś wyssał z nich kolor i zostawił po sobie tylko resztkę błękitu.

Jego głos jest równie zimny jak spojrzenie; głęboki z mocną chrypą.

- Phoebe, Owen, musicie stawić się na Zebranie Starszozny.

Moje oczy muszą w wyglądać teraz jak wielkie spodki. Nigdy nie mogliśmy przebywać na korytarzu obok Sali Diamentowej, kiedy odbywało się tam zebranie. Nie wspominając o uczestnictwie w nim. Jest to coś zupełnie nowego, że nie spodziewam się niczego przyjemnego. Patrząc na minę Owena, on również.

Starszyzna ma swoje zasady, których nie wolno łamać. Są tak święte jak Biblia u Chrześcijan. Karą za złamanie ich jest siedzenie w *Izolatce* przez tydzień.

Właśnie, dlatego zastanawiam się, czemu teraz musimy na nie iść.

Idziemy tym samym korytarzem, co zawsze. Szerokim na siedem metrów, zbudowany z marmuru jak cała reszta pomieszczeń „medialnych” (kuchnia czy sypialnie już nie są, na szczęście, z marmuru). Teraz jednak wydaje się inny niż zwykle, tak samo jak Ragnor.

Mam wrażenie, że idę na ścięcie.

Jakie to niebywałe jak w ludzkim mózgu może zagnieździć się ta dziwna myśl, a najgorsze jest to, że nie można się jej pozbyć. Jest jak rzep, który przyklei się do ubrania i nie chce odejść.

W Sali znajdują się wszyscy członkowie Starszozny, zawzięcie dyskutują i gestykują, co nie oznacza nic dobrego. Oni nigdy tak nie robią. N i g d y .

Ragnor staje przed resztą członków i odwraca się w naszą stronę. Może każe nam stąd odejść, skoro nie potrafimy nawet znaleźć Alfy? Bardzo na to liczę.

- Postanowiliśmy, że możecie wziąć udział w Zebraniu, gdyż sprawa, którą poruszamy dotyczy głównie Was. Po tym, co powiedziała na Phoebe, postanowiliśmy zmienić nasz tok myślenia i cały plan działania. Długo myśleliśmy i stwierdziliśmy, że przyda się zgoda od Was.

- Co to za plan? – Owen stoi pewny siebie, jak jeszcze nigdy. Jestem z niego dumna, nigdy w obecności Starszozny nie był tak pewny siebie.

Jeśli sprawa dotyczy naszej dwójki, wolę wiedzieć, co się za tym kryje.

Spoglądam na tatę; siedzi zgarbiony, z opuszczoną głową.

Ręce zaczynają się pocić, głowa pulsuje, a nogi zaczynają być jak z waty. Taka jest moja reakcja na zachowanie taty, mam tak, odkąd jesteśmy w Infernum. Ojciec

jest jedyną osobą ze Starszyzny, której mogę ufać; której chcę ufać. Skoro tata się denerwuje (gdy spuszcza głowę i się garbi, oznacza to wielkie zdenerwowanie), to ja również powinnam. On wie, co szykuje Ragnor, a ja zaczynam podejrzewać, że jego plany mi się nie spodobają.

- Jedno z waszej dwójki zostanie wysłane do Zakonu. Poda się jako osoba, która chce dołączyć do nich i postara dowiedzieć się, co dzieje się z naszym Alfą.

Czemu przeczuwam, że tą osobą będę ja?

Jeszcze nigdy nie czułam tak irracjonalnego lęku, tak jak teraz. Przebywanie w pobliżu siedziby Zakonu nie jest zbyt przyjemne, a co dopiero wejście do samej paszczy lwa. To będzie jak samobójstwo.

Wszyscy patrzą na nas, czekając na naszą reakcję. Chcą wyczuć w nas strach, lęk, który pokaże, kto z nas jest słabszy. Widzę to w oczach Ragnora, tylko czeka, aż któregoś z nas się sprzeciwi. Nie mam zamiaru zawieść po raz kolejny; może tata tak naprawdę boi się, że wszystko zepsuje? Cały ich misternie ułożony plan może lec w gruzach, gdy zabiera się za to Phoebe Gray.

*Strzeżcie się pomioty aniołów i diabłów, nadchodzi maszyna zagłady **Phoebe 1997**.*

Nie ruszam się nawet o milimetr, jakbym w ogóle się nie przejęła tym, że chcą nas wysłać na rychłą śmierć. Moja postawa jest nieadekwatna do sytuacji, ale mam ochotę pokazać im, że nie mogą mną rządzić. Nigdy nie byłam posłuszna i tym razem również nie zamierzam.

Owen stoi sztywno, tak samo jak ja, czuję jego napięte ramiona przy swoich. Nie chce opuszczać bezpiecznej siedziby Infernum; skąd ja to znam. Przez tyle lat to miejsce stało się drugim domem (a nawet pierwszym, bo innego nie posiadaliśmy) i mimo, że nie jest tu jak w bajce, to zdecydowanie bardziej wolę Infernum niż Zakon.

- Ragnor, czy to jest dobry pomysł, żeby wysłać DZIECI do Zakonu? – chyba muszę zapamiętać imię tego staruszka, który siedzi po prawej stronie Crewley'a; tylko on potrafi sprzeciwić się Ragnorowi, za co jestem mu dożgonnie wdzięczna. Jeszcze nigdy tak bardzo nie chciałam, aby ktoś wyperswadował „Przywódcy” jego beznadziejny plan.

- To jest dobry pomysł. I wiem, kogo wyślę. W Zakonie mają ewidentny brak jakiegokolwiek przedstawicielki rasy żeńskiej, więc Phoebe jest oczywistym wyborem.

Wiedziałam! Po prostu wiedziałam!

Nogi robią mi się jak z waty. Idę w paszczę lwa, zdana sama na siebie, bez jakiegokolwiek pomocy ze strony członków stowarzyszenia.

To taki los chce zgotować mi Crewley; śmierć w samym sercu strony wroga.

Mam siedemnaście lat, moja mama zmarła, tata nieudolnie próbuje sprzeciwić się Starszyźnie, nie mam przyjaciół, mieszkam w marmurowym pałacu, nigdy się nie zakochałam, nie miałam niczego, co mają zwyczajne nastolatki, a moim przeznaczeniem jest śmierć. Scenariusz jak z jakiegoś taniego melodramatu, tyle, że to nie jest telewizja, a ja naprawdę mogę umrzeć. Po raz pierwszy dokładnie sobie to uświadamiam.

- Madelaine przygotowuje Cię do misji. Musisz być delikatna i subtelna, by móc znaleźć Alfę. Jeśli nawalisz... cóż, Zakon zabije Cię, zanim zdążysz o tym pomyśleć. Także uważaj.

Mój ojciec siedzi skulony, jakby zaraz miał wyzionąć ducha. Jednak to nie on musi przebywać w siedzibie „tych złych”. To ja muszę to zrobić. Zapowiada się cudowna droga do śmierci (i wtedy będę wążać kwiatki od dołu).

Po tym, jak Madelaine pokazuje mi wszystkie potrzebne triki, podaje mi odpowiednią historię mojego życia i doprowadza mnie do nienagannego stanu, mogę wreszcie się odprężyć i dać upust swoim skołowanym nerwom.

Chcę płakać w poduszkę, pożegnanie z Owenem, które odbyło się zaraz po obwieszczeniu Ragnora, dobiło ostatni gwóźdź do mojego smutku i goryczy. Dlaczego to zawsze jestem ja?

Miałam być silna, nie okazywać żadnych emocji.

Moje życiowe postanowienie narzucone sobie po śmierci mamy, właśnie wzięło w łeb. Nie potrafię być silna, gdy doskonale wiem, że umrę. Jestem tak samo słaba jak każdy normalny człowiek; boję się śmierci i tego, co za nią idzie. Zostanę zapomniana? Trafię do nieba czy będę w ciemności?

Tego nikt nie wie!

Miarowe pukanie do drzwi przerywa mój płacz. Ledwie podnoszę się z łóżka i otwieram drzwi. W progu stoi tata z miną zbitego psa, oczami pełnymi łez i czekoladkami w dłoni.

- Phoebe...

Tylko tyle jest w stanie powiedzieć, gdy wchodzi, bo zaraz potem zaczyna płakać, a ja razem z nim. Właśnie kończymy pewien etap w naszym życiu, by zacząć nowy – zdecydowanie gorszy.

- Tatusiu... pamiętaj, że Cię kocham.

- Ja Ciebie też, córeczko. Ja Ciebie też.

Jeśli kiedyś myślałam, że tata nie jest dobrym wsparciem, to teraz te wątpliwości się rozwiały. Siedząc razem na łóżku, płakaliśmy oboje, tak samo jak dwa lata temu.

Zasypiam przy tacie; podejrzewam, że to ostatnia moja spokojna noc.

ROZDZIAŁ 2

„Lepiej jest nie mieć nic, niż mieć coś na niby.”

Moje zachowanie jest spokojne, ale w środku jestem kłębkim nerwów. Widzę spojrzenie Ragnora i mam jeszcze większą ochotę na ucieczkę. Moje myśli kierują się na tor, którego unikałam od jakiegoś czasu. Miałam podejrzenia, że Crewley próbuje się mnie pozbyć; niewygodna dziewczyna, która nie potrafi wykonać jego poleceń. Może jestem histeryczką, ale wszystko wydaje mi się wymuszone, a całej „akcji” w murach Zakonu miało nigdy nie być. Powód, jaki wymyślili, żebym to ja udała się do siedziby Zakonu, jest tak banalny, że aż śmieszny. Brak dziewczyn? Godny uznania argument!

Jadę limuzyną (oczywiście czarną) z jedną torbą na kolanach; zostanę wysadzona przecnicę od Zakonu. Miałam szczęście; gdy próbowałam uwolnić Alfę wcześniej, zawsze miałam kaptur na głowie i nikt nie powinien mnie rozpoznać. W końcu wtedy był już zmierzch, za każdym razem (może to jednak było planowane).

Wymyślili mi nową historię życia; nie tak okrutną jak podejrzewałam, ale jednak.

Czytam po raz setny swoje notatki na temat „mojego życia”.

Nazywam się Phoebe Clare, pochodzę z średniozamożnej rodziny. Moi rodzice zostali zabici na moich oczach przez ludzi w czarnych płaszczach. Prowadziłam

swoje własne śledztwo i odkryłam, że za tym morderstwem stoi Infernum. Dowiedziałam się, że Zakon to ich wrogowie i postanowiłam do nich dołączyć. Mam osiemnaście lat i jestem żadna zemsty.

Treść kartki nie jest zachwycająca, ale teraz, gdy patrzę w te oczy koloru lodu, mogłabym zrealizować ten ich wymyślony na poczekaniu scenariusz. Zastanawiam się, czy w mojej głowie nie zrodzi się kiedyś plan zemsty na tym mężczyźnie; jeśli przeżyję. Zaczynam go bowiem nienawidzić z całego serca.

- Nie nawal, Phoebe. Nie tym razem, bo osobiście poderżnę Ci gardło. Bez stresu.

Myśli, jakie nachodzą mnie w tej chwili, są jak niedorzeczna sterta brudów, których nie można się pozbyć, choćby bardzo się chciało; boję się o każdą następną chwilę mojego życia. Jeśli wyjdę z tej limuzyny, nie będę mogła wrócić, dopóki nie odzyskam Alfę. Mogę już nigdy nie zobaczyć taty... to chyba boli najbardziej.

Limuzyna zatrzymuje się powoli, jakby czas się spowolnił. Nie mam pojęcia, czy to wina stresu, jaki ogarnia całe moje ciało, czy to może fakt, że wzięłam kilka proszków przed wyjściem. Chwytam torbę z kolan i wysiadam; teraz już nie ma drogi powrotnej.

Jeśli chcę się wkupić w łaski granatowych peleryn muszę być rozważna i czujna. Nie mogę się zdemaskować, inaczej zginę, a do tego nie jest mi śpieszno.

Spuszczam głowę, zakładam kaptur bluzy i idę w stronę kościoła, którego mury są siedzibą Zakonu. Nic dziwnego.

Zakon jest organizacją kościelną, która powstała w 1587 roku, aby chronić mieszkańców Stanów przed „siłami z piekła”, które dostały się na „ich ziemie”. A tymi siłami z piekła jest Infernum, które według ksiąg powstało 1463 roku, jeszcze przed wyprawą Kolumba. Nie znam dokładniej historii naszej organizacji, ale wiem, że ma coś wspólnego z dziwnymi bóstwami, które nie są związane z chrześcijaństwem.

Od zawsze zastanawiałam się, która ze stron jest tą dobrą.

Brama prowadząca do kościoła jest stara i zardzewiała, a gdy ją otwieram skrzypi bardziej niż stare drzwi u babci w domu, gdy jeszcze ją odwiedzaliśmy. Zapewne każdy już wie o moim przybyciu. Żwir drażni moje stopy przez cienkie podeszwy trampek, a wiatr, jaki powoli się zrywa, przenika przez moją bluzę, przez co zaczynam się trząść.

Wnoszę oczy do góry; budowla jest o wiele większa, gdy pod nią stoisz. Z daleka wydaje się małym kościółkiem, ale tak jest zawsze. Wszystko jest większe z bliska.

Pukam do ogromnych wrót kościoła, czekam na kogokolwiek. Mam nadzieję, że mi otworzą.

W drzwiach odsuwa się zasława i widzę ciemne spojrzenie jakiegoś człowieka.

- Czego tu szukasz?

Przełykam ślinę, muszę być bardzo wiarygodna, bo inaczej nie wejdę do środka.

- Nazywam się Phoebe Clare. Muszę się zemścić na Infernum.

Strażnik w mgnieniu oka otwiera drzwi. Cóż, na razie to wystarczy, ciekawe, co potem.

- Wejdź do środka.

Gdy wchodzę już widzę, jak w moją stronę idzie gromadka ludzi ubranych... w normalne ubrania. Żadnych peleryn czy innych szmat. To miła odmiana, jak dla siedemnastolatki; nie trzeba nosić tych peleryn na ubraniach.

Na samym przedzie idzie młody mężczyzna, około trzydziestki, ma uśmiech na ustach, wygląda na porządnego.

- Cześć, Corby! Kim jest ta dziewczyna? – rzędnie mu mina na mój widok. Rozpoznał mnie?

- Markus, to jest... Phoebe?

Kiwam głową, choć jestem w lekkim szoku. Porozumiewają się tak swobodnie, jak starzy znajomi. Żadnych formalnych powitań, gierki czy innych podobnych. Naprawdę różnią się od Infernum, w pozytywnym sensie.

- Więc, dlaczego wpuściłeś Phoebe do środka?

- Bo dziewczyna szuka zemsty na Infernum.

Mina Markusa zmienia się na bardzo szeroki uśmiech. Podchodzi do mnie szybkim krokiem. Kładzie mi rękę na ramieniu i prowadzi w głąb pomieszczenia.

- Widzę, że mamy podobny cel. My chcemy ich wyeliminować, a ty się zemścić. Mogę wiedzieć, czemu?

Patrzę na niego ostrym wzrokiem. To byłby drażliwy temat dla kogoś, kto stracił najbliższych, tak jak dla mnie rozmowa o mamie. Czy ludzie nie potrafią uszanować czasem ludzkiej prywatności? Zapomniałam, że to nie są zwykli ludzie; są jak roboty: bezduszni i bez serca.

- Zamordowali mi rodziców. Czy to nie jest wystarczający powód? Wszystko widziałam, a nawet nie wiem, czym zawiniли. Chcę tylko ich pomścić, zasłużyli, chociaż na to...

Markus patrzy na mnie pełnym podziwu wzrokiem. Wcale mu się nie dziwię; przecież wyglądam maksymalnie na dziewiętnaście lat, a cel moich działań jest dość nietypowy jak na taki wiek. Uważa mnie teraz za idealną maszynę, która nie cofnie się przed niczym, by zyskać swój cel. Zaczynam rozumieć cały ten dziwny plan Starszyzny, choć dalej nie wiem, czemu to musiałam być ja?

- Jeśli chcesz dołączyć do Zakonu musisz tylko przejść rytuał inicjacyjny.

Wiedziałam, że musiało być zbyt kolorowo.

Wszędzie są jakieś wariacje, szczególnie, w tak dziwnych organizacjach, jak Zakon czy Infernum. Jesteśmy niedoskonalimi, na tym właśnie urok człowieczeństwa: brak ideałów.

- Jaki znów rytuał? Na czym on polega?

Uśmiech tego człowieka może oznaczać wyłącznie jakąś mroczną tajemnicę. Przecież nikt nie może uśmiechać się tak z byle powodu.

Wędrujemy między krętymi korytarzami, które zdają się nie mieć końca. Skręcamy dwa razy w lewo i raz w prawo, pomijam już fakt, że ciągle idziemy w dół. Ten budynek jest wielkim labiryntem, jest tu jeszcze gorzej niż w siedzibie Infernum. Znów czuję się jak w innej epoce, nic nie przypomina tu XXI wieku, w jakim przyszło nam żyć.

Kilka razy potykam na zniszczonej podłodze, ale brnę dalej, nie mam innego wyjścia. Markus idzie spokojnym, wolnym krokiem, jest już przyzwyczajony do tych uszczerbków; niestety ja nie. W Infernum wszystko było zadbane i odnawiane, co kilka lat.

- Dokąd mnie prowadzisz?

- Do Podziemi.

Wypowiada to z wielkiej litery, czy tylko się przesłyszałam? Zdarzało mi się to przecież już... kilkanaście razy.

Nie zdaję sobie sprawy, z tego że zaczynają pocić mi się ręce. Denerwuję się, jak pierwszego dnia w szkole, czuję irracjonalny strach, który ogarnia moje ciało, aż do

stóp. Oni mogą być przyjacielscy, może Starszyzna nie ma racji, szczególnie Ragnor, Zakon może wcale nie jest ucieleśnieniem zła.

- Czym są te Podziemia?

- To miejsce dla rytuału. Stajesz na środku kręgu i musisz naciąć sobie kciuk. Krew, która spłynie na ziemię, będzie czymś w rodzaju przysięgi dla Zakonu.

Moje oczy stają się wielkie niczym talerze, krew jest ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewałam. Chociaż to lepsze niż pobranie organów.

- Dobra, a jeśli to zrobię? Jakies szkolenie, cokolwiek?

- Szybciotka jesteś! – stwierdza to tak lekkim tonem, że zaczynam się zastanawiać, czy na pewno trafiłam do siedziby Zakonu. Są zbyt... zabawni. – Najpierw musisz zapoznać wszystkie pomieszczenia w budynku, a potem poznać naszego guru.

- Guru?

Moje spojrzenie mówi samo za siebie, bo po raz kolejny Markus zaszczyca mnie swoim białym jak śnieg uśmiechem. Ton jego głosu jest taki sam, jak wtedy, gdy Ragnor mówi o naszym Alfie.

- To nasz mentor, pomaga nam w walce z Infernum. Nazywa się Will.

To imię. Mama powiedziała je w moim śnie, jestem tego pewna. *Will. William.* Kiedy byłam mała, uwielbiałam to imię, kojarzyło mi się z księciem z bajki na białym rumaku. Marzenie każdej dziewczynki.

Spoglądam w zielone oczy Markusa, jego brązowe włosy opadają mu na oczy, ale on w ogóle tego nie zauważa, jest zbyt zajęty opowiadaniem mi historii o ich „mentorze”.

- Will wygląda na bardzo młodego, ale wiele w życiu już przeżył. Bardzo lubi towarzystwo, ale jeden z poprzednich szefów uznał, że bezpieczniejszy będzie na dole. Infernum próbuje go porwać od jakiś piętnastu lat. Są bardzo uparci, a od jakiegoś czasu wysyłają w te tereny dzieciaków, którzy mają magiczne zdolności. Dzięki Willowi możemy się przed nimi bronić, magia zwalczana magią.

I właśnie w tym momencie zadaję sobie sprawę, dlaczego Starszyźnie, jak i całemu Infernum zależy na tym całym Alfie. Ten chłopak, Will, prawdopodobnie nim jest, a Infernum chcą jego „magii”, tak samo jak mojej i Owena. Wściekłość, która zaczyna buzować w żyłach jest tylko impulsem. Zakon i Infernum są takie same, zależy im na tej idiotycznej magii, która w ogóle nie powinna istnieć. Nawet jako dziecko w nią nie wierzyłam, a teraz, gdy mam siedemnaście lat, muszę zmusić swój umysł do zmiany toku myślenia. Przecież sama potrafię *magiczne* rzeczy.

- Więc ten chłopak mieszka w piwnicy??

- Można tak powiedzieć...

Mój wzrok mówi wszystko, bo Markus nic nie mówi, tylko prowadzi mnie do końca korytarza, wchodzimy w ostatnie drzwi po prawej. W środku znajdują się obcy ludzie (z przykrością stwierdzam, że są młodzi, najstarszy może mieć z czterdzieści lat; bardzo różnią się od Infernum). Nie siedzą przy stole tylko w kole, a naprzeciwko mnie znajduje się mężczyzna. Albo raczej chłopak, który wygląda jakby był w moim wieku.

Staję w progu w wielkim szoku, nie mogę poskładać wszystkiego w całość. Fanatycy religijni, którzy przeszkadzają Infernum w „wypełnieniu przeznaczenia” są młodymi ludźmi, a ten cały Alfa jest dla nich takim samym guru jak dla naszej Starszyzny. Podobno chcieli go zabić!

- Mówiłem, że jest młody. – stwierdza Markus.

On nie zdaje sobie sprawy, dlaczego jestem tak zdziwiona, ale cieszę się, że tak myśli. Przynajmniej nie muszę się z niczego tłumaczyć, to wiele ułatwia.

Muszę całą siłą woli się opanować, bo inaczej zacznę krzyczeć. Cały ten zachód jest o młodego chłopaka, który jest Bogu ducha winny.

To przez niego o mało, co nie zginęłam?! Jakies tysiąc razy?!

Markus łapie mnie za rękę i prowadzi do kółka utworzonego wokół czarnowłosego chłopaka. Jest silny, bo ciągnie mnie z taką siłą, że zaczyna boleć mnie ramię, jednak staram się nie wydawać z siebie żadnego dźwięku.

- Will, oto dziewczyna, która chce do nas dołączyć. Nazywa się... - spogląda na mnie i wiem, że nie zapamiętał mojego imienia.

- Phoebe Clare.

- Tak to jest Phoebe i, jak już mówiłem, chce do nas dołączyć. Czy mógłbyś?

Chłopak podchodzi do mnie. Zauważam na jego szyi naszyjnik, na którym znajduje się sześcioramienna gwiazda połączona z krzyżem – symbol Zakonu. Jego krok jest sprężysty, szybki, a jego spojrzenie niebezpieczne.

Czuję dziwne ukłucie z tyłu głowy i przez chwilę mam mroczki przed oczami. Mam wrażenie, że ktoś grzebie mi w głowie, a wszystko wokół przestaje się liczyć. Chcę się pozbyć tego uczucia.

I, na szczęście, to dostaję.

Chłopak wpatruje się we mnie, jakby szukał czegoś szczególnego; ma pecha, jestem bardzo przeciętna (nie licząc teleportacji). Jego spojrzenie jest wyjątkowo badawcze, czuję się przez to niepewnie. Nienawidzę tego uczucia, to tak jakby ktoś trzymał na twojej piersi ciężki przedmiot, a ty nie potrafisz się od tego uwolnić. Jednak ludzie są słabymi istotami, które nie potrafiłyby przetrwać w ciężkich warunkach.

- Co On mi zrobił?

Słyszę w swoim własnym głosie niepewność, co nie oznacza nic dobrego. Zawsze, kiedy się waham, nic mi nie wychodzi; to jak z odpowiedzią przed tablicą, tylko zazwyczaj moje pomyłki kosztują wiele i to nie tylko mnie.

- Sprawdził, czy nadajesz się na członka Zakonu?

Grzebał mi w mózgu?! To chore!

Nie potrafię nic mu odpowiedzieć, a co jeśli, ten cały Will zorientował się, że kłamię? Oglądał moje wspomnienia? A może po prostu Zakon, tak jak Infernum, przeceniają jego możliwości. Przecież wiele ludzi w historii świata przeceniło możliwości siebie i innych; taki Bonaparte – był zbyt pewny siebie i swoich możliwości, przez co przegrał z rosyjską zimą.

- Myślę, że się nadaje. Ma w sobie tyle chęci... do... - zastanawia się chwilę, jakie ubrać słowa. – Ta dziewczyna chce się po prostu zemścić, myślę, że jest idealna do naszych sił.

Słowo *sił* zabrzmiało w jego ustach dziwnie i nie na miejscu.

Markus łapie mnie za ramię i wyprowadza z pomieszczenia, zegnając się jednocześnie z chłopakiem.

Znów idziemy labiryntem korytarzy, a ja wpatruję się uważniej w malowidła na ścianach.

Są stare i intrygujące. Na kilku z nich znajduje się pokaźniej postury mężczyzna z mieczem w rękę, za każdym razem ma tą samą ponurą minę i pochyła się nad ciałem dziwnej istoty; raz wygląda jak smok, za drugim razem niczym wielka dżdżownica z paszczą pełną ostrych zębów.

Osobiście, uważam, że są przerażające, choć mają w sobie pewną tajemnicę. Nie potrafię tego określić. Mam niezbite wrażenie, że ja jestem jednym z tych stworów, a tym dziwnym mężczyzną jest Wszechświat, który od jakiegoś czasu jest nastawiony na mnie w negatywny sposób. I to na każdym możliwym froncie.

Czasem zastanawiam się, jaki sens ma życie, skoro tak łatwo można je utracić. Sama wiele razy mogłam umrzeć, tylko dlatego, że dziwne stowarzyszenie postanowiło mnie wykorzystać, mimo braku mojej zgody (przecież wystarczy zgoda rodzica, czyż nie?). Ludzie sami idą w stronę, która nie jest dla nich odpowiednia, sami komplikujemy sobie życie.

Właśnie tak, jest ze mną. Sama niszczę swoje życie, zdaję sobie z tego sprawę, jednak nie potrafię tego powstrzymać... dokładnie jak w tej chwili.

Stoję lub raczej ledwo trzymam się na nogach. Mam na sobie granatowe szaty Zakonu, a wokół mnie stoi spora grupa ludzi. Nie jestem jedyną nowicjuszką; obok mnie stoi dwójka chłopaków. Mają może dwadzieścia lat, a ich twarze są naznaczone bliznami. Szatyn obok mnie ma głęboką bruzdę na policzku, sięgającą od kącika prawego oka, aż do samych ust. Ma twarde, niebieskie spojrzenie, a postawa świadczy o tym, co mógł przejść; mimo, że stał pewnie, był lekko zgarbiony – jak człowiek skrzywdzony przez los. Wiem, jak to wygląda. Byłam taka sama, tuż po śmierci mamy.

- Wystarczy, że natniecie sobie kciuk, tak jak mówiłem. Jest to bardzo stara tradycja, założycieli Zakonu. Sami nie rozumiemy, na czym polega ten rytuał, ale jak głosi księga: „*Krew oczyści członków, a ziemia Zakonu będę chroniona.*”

Dostaję maleńki scyzoryk, który wydaje mi zbyt niewinny, aby mógł naciąć ludzką skórę. Dokładnie wiem, co muszę powiedzieć, gdy kropla mojej krwi wylądzuje na zimnej, zakurzonej posadzce wykonanej z marmuru (niczym Infernum).

Przykładam do kciuka nożyk i nacinam sobie koniuszek palca. Boli bardziej niż się spodziewałam.

No dalej, zrób to! Szybciej!

Przekręcam dłoń, a krew spływa w dół. Gdy dotyka podłogi z moich ust padają słowa, które mogą mnie związać nawet na wieki z tym miejscem (przynajmniej tak przypuszczam, zważając na słowa).

- *Aeternum, Order. Ave...*

Nie mogę uwierzyć, że powiedziałam *amen*, przy czymś tak nieprawdopodobnie dziwnym.

Nigdy nie byłam specjalnie religijna, ale takie słowa w tej sytuacji wydają mi się niestosowne, czuję się, jakby to było wielkie świętokradztwo.

Pozostała dwójka kandydatów robi to samo, co ja, a Markus uśmiecha się w ten swój charakterystyczny sposób. Pod ścianą widzę chłopaka, który przypuszczanie jest Alfą, obiektem moich poszukiwań. Jeśli nie wrócę z nim do siedziby Infernum zabiją mnie, a najgorsze jest to, że nie będę mogła pożegnać się z tatą.

Brawo, zaraz się tu poryczę.

- Dziękujemy za ten mały rytuał. Od dziś jesteście członkami Zakonu!

Uśmiecham się, muszę udawać, że jestem zadowolona. Choć tak naprawdę nie potrafię pogodzić się z tym, że tata jest tak daleko. Tylko on mi został. Przecież odcięliśmy się od rodziny przed dwoma latami.

Ruszamy na górę, a gdy tylko znajduję się w przydzielonym mi pokoju, rzucam się na łóżku i po raz kolejny zaczynam płakać.

Zdecydowanie zbyt często mi się to ostatnio zdarza. Muszę wziąć się w garść. Życie jest przecież pełne niepowodzeń, ale to walka pozwala nam triumfować, dzięki niej dam radę. Będę walczyć, o to, co ważne.

Myślenie nie jest moją mocną stroną, jeżeli chodzi o coś ważnego. Zawsze coś idzie nie po mojej myśli, ale tym razem musi wyjść tak jak sobie zaplanuję. Nikt mi nie przeszkodzi. Chcę zobaczyć jeszcze mojego ojca.

Wieczór w siedzibie Zakonu był bardziej spokojny niż się spodziewałam. Wszyscy zasiadliśmy przy stole na kolację, a gdy zakończyliśmy posiłek, udaliśmy się do swoich pokoi.

Znaczy się wszyscy, oprócz mnie. Aktualnie idę tym samym korytarzem, którym wcześniej prowadził mnie Markus. Postanowiłam sobie przy obiedzie, że rozejrzę się po piwnicach (w ten nieoficjalny sposób) i innych częściach budynku, więc to robię w dość dyskretny sposób. A najdyskretniejszym, jaki znalazłam to teleportacja. Zachowując pozory poszłam do pokoju, a z niego teleportowałam się do korytarza.

Mój plan wydaje się idealny, a wszystko idzie po mojej myśli, ale to wydaje się zbyt proste. Czuję się jak w jakimś filmie taniej produkcji, mam wrażenie, że zaraz ktoś wyskoczy zza rogu, chcąc mi podciąć gardło za to, że chodzę tu nieproszona.

Trzymam dłoń na klamce drzwi, które są tylko jednymi z tysiąca. Zamknięte na cztery spusty, nie mogę nawet nimi ruszyć.

Jak mam coś wywęszyć, gdy wszystko jest pozamykane!?

- Zgubiłaś coś?

Podskakuję, gdy słyszę za sobą głos. Nie dużo pomyliłam się z tą niskobudżetową produkcją, naprawdę mam wrażenie, że moje życie nią jest. Na szczęście ten mężczyzna za mną nie chce mnie zabić; chyba.

Obracam się powoli, jakby była staruszką, która nie może się ruszyć. Strach sparaliżował każdy mój mięsień, ledwie mogę się poruszyć. Nie poznaje głosu mężczyzny za mną, więc jestem nie tylko zdenerwowana, ale też przerażona.

Nikt nie mógł mnie zauważyć! Przecież się teleportowałam!

Tuż za mną stoi ten sam chłopak, który „grzebał” w moim umyśle. Mimo przerażenia mogę dokładnie przyjrzeć się jego twarzy. Jest interesująca i tajemnicza.

Uzmysławiam sobie, że muszę wyglądać idiotycznie wpatrując się w niego z lekko otwartą buzią i mocno zgarbiona, więc prostuję się delikatnie i zamykam usta.

Jego oczy są zimne jak Ragnora, jednak moją odcień czystego nieba lub nieskazitelnej wody, a nie koloru kostki lodu jak u Crewley'a.

- Ja... szukałam... yyy... czegoś... - *wymyśl coś, idiotko. Myśl!* – Mocniejszego do picia! – krzyczę to triumfalnie, a po chwili zdaję sobie sprawę, że to nie powinno tak brzmieć. Triumf? Można wyczuć, że wymyśliłam to na poczekaniu!

Jestem beznadziejna!

- Yyy... czegoś mocniejszego? A może wężysz dla Infernum? Teleportowałaś się ze swojego pokoju do korytarza w piwnicy i chcesz ją przeszukać. A potem chcesz zabrać Alfę do Infernum, tu czytaj mnie, tak jak kazali Ci członkowie Starszyzny!

Patrzę na niego w lekkim szoku, czyli zobaczył prawdę w moim mózgu, a jednak nie powiedział niczego Markusowi czy innym.

- Czyli znałeś prawdę od początku... i nie powiedziałeś reszcie. Jesteś dziwny...

- Czy ty mnie obrażasz? Chroniłem Cię przed Markusem, bo jakby mu powiedział, to połamałby Ci wszystkie kości, a potem powrywał paznokcie, ręce i nogi. Chcesz tego? Mogę to załatwić w każdej chwili, jeśli tak bardzo tego potrzebujesz.

Przełykam głośno ślinę, czym wywołuję uśmiech na jego twarzy. Próbuję wymyśleć cokolwiek, by się stąd ulotnić (niestety myślenie w ważnych sprawach w moim wykonaniu wygląda źle).

- Nawet nie próbuj używać teleportacji, bo ja też to potrafię.

Jeśli myślałam, że widziałam już wszystko, to los robi sobie ze mnie żarty i pokazuje, jak bardzo się mylę. I tym razem jest podobnie; nie myślałam, że chłopak może mieć coś jeszcze oprócz naruszania intymnej strefy myśli i wspomnień. Jakże bardzo się myliłam.

- Nic mi nie zrobisz! Markus twierdzi, że wiele przeszedłeś, ale aż tak wiele nie można przejść, gdy ma się, maksymalnie, dwadzieścia lat!

- Chyba Infernum wiele Ci o mnie nie powiedziało.

- Może i nie! Ale mówią o Tobie, jakbyś był stuletnim staruszkiem.

Pierwszy raz słyszę jego uśmiech, jest taki naturalny i uroczy. Zaczynam mu współczuć mieszkania w piwnicy.

- Trochę się pomyliłaś. Nie mam stu lat...

- Domyśliłam się, jakieś dwadzieścia, nie więcej.

- Nie... mam sto trzydzieści sześć lat.

Otwieram szeroko oczy, a usta same otwierają się, tworząc wielką literę O.

Właśnie rozmawiam z eksponatem muzealnym.

Liczę sobie w myślach, w którym roku się urodził, podczas gdy na jego twarzy gości szeroki, szyderczy uśmiech.

- Urodziłeś się w tysiąc osiemset siedemdziesiątym ósmym roku?! – pytam z niedowierzaniem, a on tylko kiwa twierdząco głową.

Jednak nie wszystko w życiu widziałam...

- Jesteś Kapitanem Ameryką czy bogiem nordyckim jak Thor?

- Kim? Przepraszam, ale nie mam pojęcia, o czym Ty mówisz...

Uśmiecham się wesoło, choć to banalna sprawa, to w tym jednym mam nad nim władzę; nie jestem zacofana.

Stoję niepewnie na nogach, jego badawczy wzrok jest nie do zniesienia. Jest to połączenie zimnych oczu Ragnora i spokojnego spojrzenia mojej mamy.

Na jej wspomnienie czuję mocny uścisk w sercu. Minęły dwa lata, a to ciągle tak samo boli. Jednak czas nie leczy ran.

- Jeżeli znów zaczniesz mi szperać w głowie, to wydlubię Ci oczy. Bądź pewien!

Widzę, że chłopak chce jakoś na to odpowiedzieć, gdy słyszę głośne kroki. I to nie jednej osoby, a co najmniej trzech.

Krew zastyga mi w żyłach, mózg przestaje funkcjonować. Wpadłam, a teraz Markus połamał mi wszystkie kości. Łapię klamkę od drzwi i ciągnę z całej siły. Muszę się schować. Nie chcę umierać...

- Siedź cicho... - szepcze Will i macha delikatnie dłonią przed moją twarzą. Czuję mrowienie od czubka głowy po same palce, a potem... nie widzę swojego ciała!

Niczym Harry Potter!

W korytarzu pojawia się czterech (a myślałam, że trzech!) postawnych mężczyzn; jeden z nich ma wytatuowany policzek i kolczyk w nosie. Wszyscy wyglądają jak ochroniarze przy klubach go-go.

- Och, to Ty. Myśleliśmy, że to któreś z tych nowych. Obawiamy się, że któreś z nich może być szpiegiem.

- Rozumiem, ale możecie być spokojni. To tylko ja; nędzna, mała małpka Markusa, która robi wszystko, co każe. - ich spojrzenia są zszokowane, a wyraz twarzy tak tępy, że przypominają roboty. - Tak, panowie. Wszyscyuteńko słyszałem, więc dobrze radzę, wynoście się stąd, dopóki jestem spokojny.

Goryle wycofują się w szybkim tempie, a Will znów macha mi ręką przed oczami. Widzę swoje ciało, ale jestem w zbyt wielkim szoku, by cokolwiek powiedzieć.

- Przeniosę Cię do twojego pokoju, musisz odpocząć po tym dziwnym przeżyciu. Może później Ci wszystko wytłumaczę.

- Ale...

- Nie ma żadnego *ale*...

Po tych słowach wszystko zaczyna rozmazywać mi się przed oczami i po chwili widzę ściany mojego pokoju.

Wzdycham ciężko i kładę się na łóżku. To był zdecydowanie najdziwniejszy dzień mojego życia. A kolejne nie zapowiadają się ciekawiej.

Gra dopiero się rozpoczęła.

Po raz kolejny przekonuję się jak ciężko jest żyć na tym idiotycznie skomplikowanym świecie. Od zawsze wiedziałam, że moje życie to ciągła porażka, pasmo pełne niepowodzeń, ale nigdy nie myślałam, że mogę upaść tak nisko. Pomoc tym zagorzałym fanatykom misteriów, jakimi są członkowie Starszyny, to nic w porównaniu z tym, co zgotował mi obecnie los. Nie dość, że jestem tu sama, wśród tylu mężczyzn, to na dokładkę muszę wręcz płaszczyć się przed tym całym Willem. Jeśli mam być szczerą, nie podoba mi się to ani trochę.

Teraz (zaspana, zdenerwowana i zdezorientowana, szczerze, nawet nie wiem, kiedy zasnęłam), gdy widzę go przy stole, zjadającego sobie w najlepsze śniadanie, mam ochotę sprzedać mu porządnego sierpowego. Uśmiecha się perfidnie w moją stronę, przez co mam ochotę wrzeszczeć. Dałam się podejść, co jest chyba najgorsze w tym wszystkim. Ten chłopak wie o mnie więcej niż bym sobie tego życzyła. A tliła się we mnie cicha nadzieja, że będę miała, choć trochę spokoju. Nadzieja matką głupich.

Siadam do stołu obok jednego z nowych członków Zakonu, tego chłopaka z bliźną na policzku. Gdy zauważa mnie obok siebie, na jego twarzy zauważam uśmiech, co lekko mnie szokuje.

- Cześć, jestem Gared, a ty?

- Phoebe, miło mi. - Gared podaje mi rękę, a ja chwytam ją w delikatnym uścisku. Jego dłoń jest tak wielka, że moja mieści się w niej bez problemu. Przypomina wielkoluda, jest niczym Hagrid albo Hulk (bez zielonej skóry, oczywiście).

- Zastanawiam się, czego szuka tu taka drobna dziewczyna. Zakon to instytucja, która jest... baaardzo stara.

- Założona w 1587 roku, wiem. Zdaję sobie sprawę w co się pakuję, ale niektóre rzeczy są warto poświęcenia.

Gared spogląda na mnie spojrzeniem, które mówi mi wszystko. Przeszedł w życiu coś, czego nie da się opisać.

- Może znajdziemy nic porozumienia. Czemu tu jesteś? - pyta lekkim tonem, choć słyszę w nim wahanie. To dziwne i zarazem urocze: tak ogromny facet jak on, waha się.

Ma włosy w kompletnym nieładzie, przez co wygląda młodziej, choć jest ode mnie starszy jakieś pięć, może sześć, lat.

- Infernum zabiło mi rodziców. Chcę po prostu się zemścić, przez nich już nigdy więcej nie zobaczę uśmiechu mamy ani nie usłyszę sarkastycznych uwag taty. Chcę zginąć, mając świadomość, że zrobiłam wszystko, żeby ich śmierć nie była niepotrzebna.

- Myślisz, że oni by tego chcieli?

Po raz pierwszy zastanawiam się nad tym, czy moja przykrywka nie jest odrobinę bezsensowna. Jaki rodzic chciałby, żeby jego dziecko mściło się. Nawet, jeśli chodzi o taką sprawę, to przecież, na przykład, mój nie chciałby czegoś takiego; żaden rodzic by nie chciał.

- Ja tego chcę... - odpowiadam cicho. To jedyne, na co jest mnie stać, nie potrafię nic więcej mu powiedzieć. - A czemu ty tu jesteś?

Chłopak uśmiecha się pod nosem.

- Widzisz tą bliznę? Na moje miasto, które, tak na marginesie, jest w Rumunii, została wysłana jednostka dziwołagów z Infernum. Moje miasteczko pomagało członkom Zakonu, uchronić tego chłopaka przed Starszyzną. Jeden z członków Infernum, zabił mi siostrę, ale najpierw ją zgwałcił. Większość ludzi zginęła, a Ci, którzy ocalili, uciekli. Znalazłem ich dopiero teraz. Po trzech latach. Te kilka lat temu obiecałem sobie, że będę chronił chłopaka, za którego większość miasta zapłaciła życiem. Szukałem ich głównej siedziby przez pół roku, a dwa lata zbierałem się w sobie, walczyłem z sobą, by w końcu stanąć na nogi.

Nie wiem, kiedy, ale zaczynam cicho płakać. Jego opowieść była nie tyle smutna, co dobijająca i frustrująca. Zaczynam przekonywać się, że Infernum to nie jest ta dobra strona barykady. Od początku wiedziałam, że są zimnymi ludźmi, ale nie myślałam, że do tego stopnia. Ja i Owen staramy się dla kogoś, kto nie jest tego wart.

Wiem jedno, nie pozwolę, aby oddzielili mnie od mojego taty; wystarczy mi to, co dzieje się teraz. Brakuje mi jego rad, naszych wspólnych filmowych wieczorów. Został mi tylko On. Reszta rodziny już o nas zapomniała, nie mam nikogo oprócz niego.

- Phoebe, to nie jest, aż tak okrutne jak Ci się wydaje. Zebrałem się w sobie i staram się być lepszym człowiekiem.

Jego uśmiech na twarzy zranionej długą blizną, jest wręcz nieprawdopodobny. Jestem pełna podziwu, ten ogromny mężczyzna (w moich oczach już przestał być chłopcem) nie dał się złamać, choć życie dało mu w kość. Muszę być tak silna jak on, inaczej nie poradzę sobie.

- Podziwiam Cię, Gared. Jestem pod wielkim wrażeniem. Od dziś jesteś moim idolem. Ciesz się, wskakujesz na miejsce Brada Pitta.

Śmieje się cicho i przeprasza, bo musi odejść od stołu. Robię to samo, co on, ale czuję na sobie spojrzenie Alfego. Wspominałam, że serdecznie go nienawidzę? Jeśli nie, to mogę powtórzyć.

Czeka mnie ciężki dzień, muszę być w pełni sił, jeżeli chcę przetrwać. Czuję się jak na wyścigu, jeden błąd może mnie kosztować utratą wygranej; dla mnie jest to powrót do taty.

Sala treningowa jest większa niż w Infernum i urządzona zdecydowanie nowocześniej. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam (i więcej, raczej, nie zobaczę) takiej kolekcji broni: białej, palnej i każdej, jakiej sobie zamarzę. Nasz trener wygląda niezbyt zachwycająco, a jego łysina błyszczy od... sama nie mam pojęcia, czego. Może to pot a może coś zupełnie innego. Wolę tego nie wiedzieć, niewiedza czasem jest najlepsza.

- Clare! Na drabinki i trzydzieści brzuszków w powietrzu - na początku nie wiem, do kogo mówi, a później orientuję się, że chodzi o mnie. Podbiegam do drabinki i robię to, co każe trener.

Obserwuję Cię.

Jestem blisko tego, aby puścić poręcz i runąć w dół. Słyszę głos w swojej głowie, doskonale wiem, do kogo on należy.

Spoglądam w stronę, gdzie wcześniej widziałam tego stwora. Stoi sobie w najlepsze, patrząc na trening członków Zakonu; jego, oczywiście, trening nie zobowiązuje. Żyje tu niczym Lord, nie dziwię się, że im pomaga. Też byłabym skora do pomocy przy tak interesującym układzie.

Słyszę Cię, Gray.

Zna moje nazwisko! Teraz chyba mam prawo panikować.

Zeskakuję z drabinki i idę do reszty grupy. Sami mężczyźni, tak jak uprzedzał Ragnar. Widziałam tylko dwie kobiety, jedną starszą, drugą młodszą, które chodziły po murach tej siedziby.

Znam Cię lepiej niż myślisz. Pamiętaj, po coś jestem potrzebny i Infernum i Zakonowi.

Przełykam ślinę, nie mogę skupić się na ćwiczeniach. Zaczynam robić się błada, a trener pyta, czy wszystko ze mną w porządku. Gdy kiwam twierdząco głową, zaczynamy trening z bronią palną. Na początek zwykły, mały rewolwer, jak te prosto z westernu.

- Musicie być pewni, tego co robicie. Jeden niepewny ruch i możecie się skrzywdzić.

Uczyłam się strzelać z takiej broni, nie kojarzę by mogły zrobić krzywdę komuś po za moim celem.

Trzymam pewnie, sztywno ramiona i chcę oddać strzał.

- Och, witaj, Brus. Czy mogę zabrać Phoebe?

Głos Willa rozprzestrzenia się po całej sali treningowej. Jakby nie wystarczył sam fakt, że jestem dziewczyną.

- Po co Ci nasza jedyna dziewczyna? Chyba, że...

- Nie chcę z nią uprawiać seksu, Brus. Markus chce z nią rozmawiać...

Trener kłania się, a Will macha do mnie ręką; wie, że nie mam wyboru, muszę iść z nim. Albo raczej za nim.

Niechętnie ruszam w jego stronę, a uśmiezek na jego twarzy się pogłębia. Mam ochotę walnąć go prosto w twarz z prawego sierpowego.

Nie radzę, bo zrobię to, co sugerował Brus.

Po moim ciele przebiega dreszcz.

Chciałbyś, Will...

- Gdzie mnie prowadzisz? - pytam cicho, gdy schodzimy w dół schodami, jak się domyślam, do piwnicy. Perspektywa sam na sam w ciemnej piwnicy z tym chłoptasiem, nie podoba mi się ani trochę. Mam wystarczająco problemów na głowie.

- Chce pokazać Ci, dlaczego nie pozwolę, abym znów był w Infernum, tak samo jak Ty.

- Słucham? - mój głos nie brzmi jak mój. Jest zbyt piskliwy, wysoki, jak małej, taniej „tapeciary”.

Uspokój się i odpręż...

Te słowa w mojej głowie nie powinny działać, ale gdy tylko je słyszę, dzieje się ze mną to, czego zapragnął głos. Uświadamiam sobie, że to może być sprawka Willa, ale nie jestem w stanie zrozumieć, jakim sposobem zapanował nade mną: moim umysłem i ciałem.

A teraz słuchaj uważnie, bo to bardzo ważne.

Mój mózg dostosowuje się do jego poleceń. Jestem jak robot, robię to, czego sobie zażyczy i nie mam nic przeciwko temu. Jestem odprężona i patrzę na niego, czekając, aż wypowie te swoje ważne słowa.

- Znam całą twoją historię, widziałem ją w twojej głowie. Ale nie możesz wrócić do Infernum, oni są zbyt niebezpieczni. Rozumiesz, Phoebe?

- A Zakon?

Uśmiecha się, choć widzę w jego oczach niechęć.

- Są lepsi, ale niewiele. Wszystkim zależy na mojej mocy. Infernum chce zapanować nad światem, wszystkich pragnie mieć pod swoimi rządami. A Zakon... oni chcą podobnie, nie licząc tego, że nie chcą zabijać. Infernum planuje mordować wszystkich przeciwników. Widziałem to w umyśle Ragnora.

- Więc ucieknij... ze mną... - czy ja to powiedziałam? Dlaczego ja to powiedziałam? Will! To wszystko jego sprawka! - Czemu mnie zmusiłeś, żebym to powiedziała?

Nie słyszę nic, widzę tylko delikatny uśmiech na jego twarzy. Ma zdolności, które perfidnie wykorzystuje. Manipuluje sytuacją. A mówi się, że każdy jest kowalem swojego losu; na pewno nim nie jest, gdy w grę wkracza Will.

- Ja do niczego Cię nie zmuszałem. Sama to powiedziałaś...

Chcę zaprzeczyć, ale nie mogę poruszyć ustami. Zamiast tego słyszę w głowie kojący szept, jest dla mnie jak kołysanka; zaczynam słyszeć się go, usypia wszelkie zmysły.

Do niczego Cię nie zmuszam. Jesteś w niebezpieczeństwie, uwierz mi. A teraz wróć na trening, tylko spokojnie. I nikt nie może dowiedzieć się o tym, co Ci powiedziałem. To będzie nasz sekret, Panno Gray.

- Dobrze, Panie...

- Collins...

Idź...

Jestem jak w transie, robię dokładnie to, czego chce Will. Nie podoba mi się to; może mną manipulować jak tylko mu się przyśni. Przechodzi mnie zimny dreszcz, gdy zdaję sobie sprawę, jak wiele potrafi ten z pozoru niewinny chłopak.

Nie prędko zobaczę się z tatą... na pewno nie.

ROZDZIAŁ 3

„Ten, kto nie ma poczucia doskonałości, zadowala się spokojną przeciętnością.”

Przez trzy następne dni mam wrażenie, że coś siedzi mi w głowie. Nie pomagają rozmowy z Garedem, treningi. Nie potrafię się pozbierać, kiedy widzę Willa, uciekam, bo boję się, że znów wejdzie do mojego umysłu. Ciągłe chodzę spanikowana i spięta, w końcu ktoś to zauważy.

Piątek jest dniem, gdy wszyscy w Zakonie spotykają się w salonie i rozmawiają. Zastanawiam się, jak w tym ich salonie może pomieścić się tyle osób. Przecież jest tu nas około dwustu (prawie sami faceci).

Salon okazuje się być pomieszczeniem wielkości średniego boiska do piłki nożnej. Znajduje się tu telewizory (trzy, pięćdziesięciocalowe, full HD i inne bajery, o których normalny człowiek śni po nocach), kilkanaście wyściełanych czerwoną skórą kanap i długi stół pełen przekąsek (jakbyśmy dwie godziny temu nie jedli śniadania).

Gared idzie obok mnie z uśmiechem na twarzy. Wiem, czemu tak się cieszy; na jednym z telewizorów widać mecz NBA, nie znam się na tym, więc nie nawet, jak nazywają się drużyny.

W czasie rozmów z Garedem dowiedziałam się o nim wiele, tak samo jak on o mnie (nie licząc tego, że jestem członkiem Infernum i tego, jak mam naprawdę na nazwisko). Chłopak uwielbia koszykówkę, jazdę na desce i różne sporty (ogólnie wygląda jak kulturysta, ale staram nie zwracać na to uwagi).

- Phoebe, choć obejrzymy mecz! - mówi z taką radością, że ciężko mi mu odmówić. Ma wzrok roześmianego dziecka, które właśnie zobaczyło cudowną zabawkę. Taką, o której śniło od lat.

- Nic nie obiecuję. Usiądę z Tobą, ale jak zasnę to nie będzie moja wina, dzieciaku.

- Idiotko, jesteśmy w tym samym wieku. - on też ma siedemnaście lat, choć wygląda na, co najmniej dwadzieścia. Jest tak wysoki i postawny; spotykając go na ulicy nie powiedziałabym, że jest w moim wieku.

Siadamy na jednej kanapie, choć ja nie skupiam się na telewizorze. Po raz kolejny dopada mnie mętlik, jestem rozdarta między potrzebą bycia z tatą, a tym, czego dowiedziałam się od Willa. Nie wiem, komu wierzyć. Infernum czy Zakonowi.

Słyszę Cię. Nie możesz popierać Infernum. Rozumiesz?

Ten głos coraz mniej na mnie działa, zaczynam tworzyć system obronny przeciwko niemu.

Nie dasz rady się odciąć. A teraz się schyl i chronić szyję. Zaraz nadejdą.

Nie rozumiem, czemu się go słucham, ale robię to, co mi każe. Chwilę później zaczyna się dziać coś, czego nigdy nie doświadczyłam w Infernum. Całe pomieszczenie zaczyna się trząść, a rzeczy ze stołu lądują na podłodze. Nie rozumiem, co się dzieje, ale starsi członkowie doskonale to wiedzą - biegną szybko do składu broni, który znajduje się niedaleko pomieszczenia, w którym jesteśmy. Co ja miałam robić?

Chronić szyję, idiotko!, krzyczę sama na siebie.

Coś spada na moją nogę, a ja wciągam z sykiem powietrze, gdy widzę... ludzkie ciało. Wstaję z piskiem, nie dając dłużej rady. Gared podrywa się razem ze mną.

- Co się dzieje? - jego krzyk jest ledwie słyszalny przy wystrzałach z pistoletu.

Chowaj się, Phoebe! Przenieś się stamtąd!

Chcę przekazać Willowi, że nie mogę się teleportować przy świadkach, ale czuję, jakby ktoś uderzył mnie od środka w głowę. To chyba znak, że mam wziąć się w garść.

- Gared, chowamy się! Szybko!

Rzucamy się szybko za jedną z kolumn znajdujących się w salonie. Ni stąd, ni zowąd pojawia się obok nas Markus z przerażoną miną.

- Nowicjusze do piwnic! Ruchy!
- Co się tu właściwie dzieje? - nie wiem, który zaraz dziś słyszę podobny zwrot.
- Atakują. Uwierzcie, nie tylko Infernum czai się na Willa. Wampiry, wilkołaki, czarownicy czy Fearie też mają na niego chrapkę.

Patrzemy na siebie z Garedem z tak wielkim niedowierzaniem, że czuję, jak moje powieki zaczynają boleć od zbytniego naciągnięcia. To jakby powiedzieć małemu dziecku, że pod jego łóżkiem chowa się potwór, który zjada dzieci.

Jestem jak sparaliżowana, nie potrafię poruszyć żadną kończyną. Nigdy nie słyszałam bardziej niewiarygodnej rzeczy. Magiczne stwory, nie potrafię w to uwierzyć.

Na dół, rozumiesz? Phoebe posłuchaj mnie!

- Phoebe, idziemy!

Gared podnosi mnie z ziemi, szybkim krokiem prowadzi mnie w dół.

Po raz kolejny widzę labirynt korytarzy, mnóstwo drzwi. Nie wiem, dokąd mamy iść dokładnie, dopóki nie widzę kilkunastu osób. Gromadzą się pod drzwiami do *pokoju* Willa, które zaczynają się otwierać.

- Chowajcie się!

Jest ubrany w granatowe ubrania, dopasowane do jego ciała. Ma przy pasie pistolet i kilka noży.

Wszyscy wchodzi do środka, a gdy chłopak mnie mija, łapie mnie za dłoń. Jego niebieskie oczy są ogromne, a źrenice mocno powiększone; widzę w nich płomyki ognia - prawdziwego ognia.

- Uważaj na siebie...

Biegnie w górę, a ja zostaję sama. Gared już stoi obok drzwi i macha w moją stronę, abym w końcu się ruszyła. Czuję wstrząs całego budynku, a jedna z cegieł ląduje kilka kroków ode mnie. Krzyczę cicho, a w tym samym czuję zimną stal tuż przy szyi.

Gared ma tak przerażone spojrzenie, że nie mam odwagi nawet się ruszyć. Kto przykłada mi nóż?

- Idziesz ze mną na górę. Masz być cicho, nie radzę krzyczeć, bo poderżnę Ci gardło.

Poznaje ten głos; przypomina barwę głosową jednego z pomocników Markusa - Hansa. Jeżeli to on, nie mam szans na ucieczkę, jest dość bezwzględny człowiekiem. Zabije mnie, a wtedy już nigdy więcej nie zobaczę taty; wrócę do Infernum w trumnie, a tata się załamie.

Całe moje życie leży w rękach nieobliczalnego człowieka. Wprost cudownie.

Osobiście nigdy nie widziałam żadnej konfrontacji, która mogła nieść za sobą śmierć, nawet obcych mi osób. Sam widok krwi powoduje zawroty głowy, ale to nic z tym, co widzę teraz. Jeśli myślałam, że widziałam w filmach prawdziwe bitwy, bardzo się myliłam. Nigdy nie ma zwycięskiej strony, każda traci członków, niektórzy dość ważnych. Tak jak Zakon może stracić teraz. Nie mogę przyswoić do siebie myśli, że ludzie są zdolni do takiego samozniszczenia, zabijamy się wzajemnie, bez wyrzutów sumienia czy pokory; tylko z zimną krwią.

Pierwszy raz mogę zobaczyć, co potrafi Will. On naprawdę posiada magię i to niesamowitą. W tym momencie używa siły wody, aby unieruchomić przeciwnika; jest

niezwykły, w tym co robi. Jeszcze nigdy nie było mi dane ujrzeć czegoś tak ekscytującego.

- Phoebe!

Głos Markusa niesie się ponad wystrzały pistoletów, syk ognia i chrzęst ognia. Widząc po naszych wrogach, jesteśmy już na wygranej pozycji. Dziś jest dzień, gdy pierwszy raz widzę taką rasę jak wilkołaki.

Albo raczej ogromne wilki. Wielkości człowieka, wszystkie w podobnym odcieniu rdzy, z zakrwawionymi pyskami. Wolę nie wiedzieć, czyja to krew. Czytając książki, uważałam, że wilkołaki to te lepsze stworzenia, które nie zabijają ludzi (oczywiście nie wierzyłam w nie, ale to chyba oczywiste). Wilki, które przedostały się przez okna do środka nie były ani trochę podobne do przyjaznych wilkołaków z mojej książki, z czasów, gdy byłam małym molem książkowym.

- Hans? Co ty robisz? Phoebe, nic Ci nie jest? - chcę krzyknąć, ale gdy tylko otwieram usta, moje gardło nadziewa się na nóż jak szaszłyk. Wolę nie zabijać się sama.

- Oddaj Willa, a nic jej się nie stanie. Dwór naczekał się już na niego długo, teraz będzie nasz, a Królowa przywróci mnie do jej łask.

I właśnie wtedy rozumiem, kim jest nasz pomocnik. Pełni taką samą rolę jak ja. *Szpiega*. Wykorzystał moment osłabienia wśród szeregow członków Zakonu, by zyskać to, czego chciał by wrócić do domu. Powinnam zrobić to samo, a nie chować się w piwnicach, mogłam wykorzystać moment. Czemu tego nie zrobiłam?

Bo inaczej Cię usmażę, Phoebe. Nie żartuję!

Czy ten człowiek nigdy nie wyjdzie z mojego umysłu? Czuję się przez niego jak gość we własnym ciele.

Wiercę się, a nóż nacina z łatwością moją skórę. Czuję jak powolna struga krwi płynie po mojej szyi. Chcę krzyknąć, gdy czuję cholerne pieczenie, ale wolę już się nie ruszać. Nauka jak zadać ból jest o wiele łatwiejsza niż jego znoszenie. Najwidoczniej nie jestem, tak twarda, jak myślałam.

Cogito ergo sum, Phoebe.

Łacina nigdy nie szła mi najlepiej, ale to zdanie pamiętam z języka angielskiego czy historii. *Myślę, więc jestem*. Will dał mi małą wskazówkę do tego, co mam robić. Jak uwolnić się z tej idiotycznej sytuacji.

Obok mojego nosa przelatuje strzała i jest to wystarczający impuls. Wykonuję prosty chwyt, zatrzymując ręce przeciwnika, wykręcam się z jego uścisku i przeskakuję nad jego głową, wbijając mu nóż w ramię. Wrzeszczy, wyrwijając sobie klingę z ramienia i patrzy na mnie złowrogo.

- Mała poczwarka, która chce zmienić świat. Wielu przed tobą próbowało, ale poległo. Rzymianie, Napoleon, Hitler to tylko niektórzy z nich. Ty będziesz niedługo wśród nich. Infernum to nic, w porównaniu z tym, co robi z Tobą Królowa, gdy wszyscy polegacie, oddając nam Willa. Śmierć twoich rodziców, to tylko mrugnięcie. Ty będziesz cierpieć gorzej niż Wasz Bóg. Lepsza będzie śmierć niż dalsze życie.

Jego słowa trafiają w zamek w moim, już i tak kruchym, sercu. Czuję mocny uścisk w klatce piersiowej, ciężko mi oddychać, a ból rozchodzi się w każdy nerw mojego ciała.

Widzę moją mamę w ostatnich chwilach jej życia. Zniszczoną chorobą kobietę, która jest tylko częścią jej poprzedniej osoby, namiastką tego, co było. Widzę jej ostatni uśmiech, spojrzenie, słyszę ostatnie słowa *kocham was*. To wszystko w jakiś sposób ukrywałam przed samą sobą, bałam się wracać do tamtych chwil, jakby

każde wspomnienie twarzy mamy przypominało palący ból. Była jedyna, niezastąpiona, kochana. Ale odeszła, jak każdy z nas.

- Prędzej wszyscy zginiemy niż dostaniecie Willa. Nie pozwolę na to.

Moje słowa są zbyt mocne, zuchwałe. Jak by nie wystarczył Ragnor, który postawił zostać moim wrogiem numer jeden. Jeszcze teraz dojdą Fearie. Super!

Mężczyzna z nienawiścią wyciąga z kieszeni duży, składany nóż i wymierza we mnie jego czubkiem.

- Będiesz przykładem, co możemy z wami zrobić, kiedy tylko chcemy.

Ma zamiar przebić mnie nim, gdy nagle w jego gardle utyka strzała.

Odskakuję przerażona; na mojej twarzy czuję ciepłą krew, więc szybko ją ścieram, czuję, że jest mi niedobrze.

Markus stoi niedaleko mnie, z łukiem opuszczonym w lewej ręce. Na jego twarzy maluje się satysfakcja; uratował mnie, więc ja będę musiała się jakoś postarać, by oddać mu dług, który właśnie u niego zaciągnęłam. Jestem mu wdzięczna, choć czuję w ustach dziwny posmak, prawdopodobnie mojego ostatniego, przetrawionego posiłku. Przełykam ślinę.

Jeden z wilków zaatakuje Willa, ale ten zręcznie unika powalenia i ciska w stwora salwą ognistych płomieni. Najwidoczniej Will panuje nad żywiołami (taki uroczy dodatek do czytania i grzebania w cudzym umyśle i nieśmiertelności, żyć nie umierać).

Gdy tylko jestem w stanie oderwać wzrok od makabry jaka się tu rozgrywa, odbiegam od ciała Hansa, jest mi niedobrze i jestem coraz bliżej zwrotu posiłku. Markus łapie mnie w trakcie moje krótkiego biegu, a ja już nie mogę złapać powietrza; wszędzie wokół widzę krew, czuję ją w nozdrzach oraz mam wrażenie, że czuję ją w ustach.

- Wszystko w porządku. Will się z nimi rozprawia, zaraz będzie po wszystkim.

Dopiero teraz w moich oczach zbierają się łzy, czuję własną bezsilność. Nie powinno mnie tu być, chciałam żyć normalnie: chodzić do szkoły, wagarować, a zamiast tego mam wojny między ludźmi o chłopaka, który ma więcej lat niż moja prababcia. Ciężki strumień spływa po mojej twarzy; mogłam zginąć, nie zobaczyć więcej taty, a to za sprawą, tego że jakiś idiota wziął mnie za przynętę.

Ostatnie wilkołaki uciekają, piszcząc jak małe psiaki.

Will podchodzi do Markusa. Jest wściekły, widzę to w jego niebieskich oczach.

- Markus, to już trzeci raz w ciągu dwóch tygodni. Możesz mi to wytłumaczyć? – jego głos jest pełen gniewu, a usta ściskają się w wąską linijkę.

- Nie... - nagle wzrok Markusa staje się rozmyty, a usta same się otwierają. – Will, oni boją się o siebie. Gdy zdobędziemy stan Nowy Jork, zaczniemy opanowywać całe Stany, a potem świat. A ty nam w tym pomożesz, nieświadomie. Będiesz myślał, że ratujesz świat, a tak pomożesz nam go zniewolić.

Will, cały pobladły, sięga do głowy Markusa, wymawiając cicho kilka łacińskich słów. Rozumiem tylko *mortem*.

- A teraz nie będziesz nic pamiętać, szuj. Zabiję Cię, kiedy tylko będę mógł. Śpij!

Markus osuwa się na ziemię, a Will łapie mnie za rękę i wyprowadza z pomieszczenia. Tak mocno ściska mi nadgarstek, że zaczynam syczeć jak wąż.

Odwraca się w moją stronę, łapiąc drugi nadgarstek i przyciąga mnie lekko do siebie.

- Pamiętasz, jak mówiłem Ci, że masz stąd uciekać? Zabieraj Gareda, wynosimy się. Macie godzinę na zabranie wszystkich rzeczy i broni. Będę u was punktualnie o... - zerka na zegarek i uśmiecha się pod nosem. – trzynastej trzynaście. Cóż za zbieg okoliczności.

Odchodzi, a ja nawet nie mam czasu dobrze zastanowić się nad odpowiedzią. Jedyne, co wychodzi z moich ust to ciche: „Ale”.

Gared spogląda na nie dziwnie, gdy pakuję wszystkie jego rzeczy. Nie dziwię mu się, sama nie wiem, czemu to robię. Prawdopodobnie to sprawka Willa, ale też *chcę* uciec. Jeśli ktoś myślał, że Zakon jest tym „lepszym”, to po słowach Markusa zmieniłby zdanie. Tak jak nasz Alfa.

- Po co to robisz? Co się dzieje, Phoebe? – nie odpowiadam nic, dalej szybko pakując jego rzeczy. – Clare! O co tu chodzi? – krzyczy, a wtedy łapię go za ramiona i potrząsam.

- Ogarnij się! Markus chce oponować cały świat jak te świry z filmów akcji. Tylko, że oni nie mieli do pomocy chłopaka, który ma magiczne zdolności. I tak naprawdę nazywam się Gray. I jestem członkiem Infernum.

- CO??? – Gared wstaje, przez co góruje nade mną jakieś pół metra.

- Zamknij się w końcu i się pakuj, chyba że chcesz zostać. Wszystko, co o mnie wiesz, to prawda. Po za tym, że jestem w Infernum.

Usta chłopaka otwierają się i zamykają kilka w ciągu zaledwie dwóch sekund. Zaciska dłonie w pięści, a ja zaczynam czuć pot na karku. Przecież Infernum zrzućniało jego miejsce zamieszkania, ma teraz okazję mnie zabić, aby się zemścić.

Po cholerę się odzywałaś?

- Czyli ta historyjka...

- Zmyślona. Tak naprawdę jestem w Infernum tylko ze względu na tatę. Mama umarła dwa lata temu, a on załamał się i wciągnął nas w to bagno. Do tej pory nie wiem, jak ich znalazł. Jest w Starszyźnie, ale tylko dlatego, by mogli mnie wykorzystywać do ich misji „odbicia” Alfę – nie patrzy na mnie. Dalej ścisza dłonie, a na jego czole widzę zmarszczki. Myśli, co ma zrobić.

- Spakowałaś się już? – kiwam głową. – To idziemy do tego Willa. Skoro jest taki wszechwiedzący, to tym razem Cię posłucham. Mimo wszystko, bardzo Cię lubię. Choć jesteś członkiem Infernum – wzdryga się na to słowo, ale bierze swoją walizkę i ciągnie mnie w kierunku drzwi.

- Mam szybszy sposób...

Koncentruję się na mojej dłoni i Gareda. Świat zaczyna rozmywać się przed oczami, pokój staje się nie wyraźny, a ja zaczynam widzieć nakładające się na siebie obrazy. Wszystko wraca do normy, a my jesteśmy w moim pokoju.

Chłopak jest blady jak papier, ale uśmiecha się pod nosem. Łapię za walizkę w chwili, gdy do pokoju wchodzi Will. Uśmiecha się na nasz widok.

- Jednak mnie posłuchaliście...

- Phoebe jest bardzo przekonująca – odpowiada mu Gared. Są tego samego wzrostu, ale różnią się postawą. Gared jest ogromny, niczym kulturysta, a Will jest szczupły i lekko umięśniony.

- Wiem o tym. Wynosimy się, stąd...

- Szczerze w to wątpię!

Patrząc zszokowana na drzwi, gdzie stoi Markus. Jest wściekły, ma w ręku pistolet, a jego uśmiech jest jak zimne spojrzenie Ragnora. Za nim stoi kilku ludzi, są uzbrojeni po zęby. Zimny pot pojawia się na moim karku, czuję zawroty głowy, a zawartość żołądka znów podchodzi mi do gardła.

To za dużo jak na jeden dzień. Jak na pół dnia!

- Markus... co ty tu...

- Zaskoczę Cię, Will. Ja też coś potrafię. Coś magicznego. Jestem tak samo nieśmiertelny jak ty i mogę bronić się przed twoim umysłowymi czarami. Jesteście w pułapce, kochani. Nie macie szans!

Pierwszy wystrzał trafia w Gareda, drugim dostaję ja. Na początku nic nie czuję, lekkie ukłucie, ale świat zaczyna rozmazywać się przed moimi oczami.

Umrę, nie zobaczę taty, a on się załamie i się zabije. A wtedy wszyscy będziemy razem. Ja, mama i tata.

Siła uderzenia powala mnie na ziemię, dopiero w chwili upadku zaczynam czuć jakikolwiek ból. Moje ciało błaga o pomoc, w brzuchu czuję pulsujący ból. Dotykam miejsca pod żebrami, a ciepła krew przesiąka między moimi płacami. Jest jasnoczerwona i szybko wypływa z miejsca postrzałowego. Jeśli dostałam w tętnicę, jakkolwiek, już po mnie. Umrę, a razem ze mną Gared, który jęczy tuż obok.

Spoglądam na Markusa, który uśmiecha się złowrogo. Trójka z jego uzbrojonych ludzi idzie w moją stronę. Dwóch z nich podnosi Gareda, a ja ląduję w łapskach jakiego obrzydliwego gościa.

- Infernum... nie pomyślałbym, że moją taką młodziutką osóbkę w swoich szeregach. A ty, Will, czemu mi o tym nie powiedziałeś? Widziałeś przyszłość, widziałeś, że to ona pomoże Ci uciec, razem z nim? Jeśli tak, to twój plan poszedł z dymem. Nie uciekniecie stąd. NIGDY.

Trzech mężczyzn łapie Willa; prowadzą nas wszystkich w dół, prawdopodobnie do więzienia.

Markus miał rację...

Nigdy nie uciekniemy.

A ja nie chcę umierać.

Pomieszczenie więzienne nie należy do najprzyjemniejszych, szczególnie, gdy jest się przywiązany do dziwnego stołu w stylu średniowiecznego narzędzia tortur. Mam rozciętą wargę i czoło; na samo wejście dostałam czymś ciężkim w głowę, a teraz czuję jak krew płynie mi od czoła do szyi. Brzuch cholernie mnie boli, ciągle czuję pulsowanie płynącej krwi. Nie był to śmiertelny strzał, ale bez opatrzenia umrę w ciągu kilku dni, może nawet w krótszym czasie.

Obok mnie coś zaczyna jęczeć, choć to chyba raczej ktoś...

- Phoebe? – słaby głos Gareda jest dobrze słyszalny wśród ciszy panującej wokół. Nie czuję się na siłach nawet na uniesienie głowy. Wszystko wyssało ze mnie siły.

Przegrałam. Na każdej możliwej linii.

Czuję się beużyteczna, jak idiotka, która dała się podpuścić.

- Tak, Gared?

- Wszystko w porządku? – pyta ze współczuciem w głosie.

- Oprócz tego, że mam wrażenie, jakby ktoś wysssał ze mnie siły, to jest całkiem nieźle. Przepraszam, że Cię w to wciągnęłam...

- Nie masz za co. Wolę umrzeć w słusznej sprawie niż być wśród tych, co chcą opanować świat. Jestem Ci wdzięczny, że powiedziałaś prawdę. Patrząc na Ciebie, już tak bardzo nie nienawidzę Infernum.

Uśmiecham się z trudem, by zaraz poczuć ból w okolicach oczu. Nie wiem, czym jest to spowodowane, ale nie chcę w to wnikać. Mam teraz ważniejsze sprawy.

Drzwi otwierają się z trzaskiem, a zaraz potem pojawia się w nich potężnie zbudowany mężczyzna. Ma w ręku papierosa, włosy długie do ramion.

Czyli tak będzie wyglądać ostatnia, którą zobaczę w życiu.

Pochyla się nade mną, wpuszczając mi do ust śmierdzące powietrze. Robi mi się słabo oraz niedobrze (który to już dziś raz?).

- Infernum, złowrogie stowarzyszenie, a ich członków trzeba zabić.

Po czym przykłada mi papierosa do skóry. Zaczynam krzyczeć, a mój wrzask prawdopodobnie rozchodzi się po całym więzieniu.

Czuję delikatnie ukłucie, a potem piekący ból. Spoglądam w stronę mojej lewej ręki, na której znajduje się błyszczący nóż, który rozcina mi skórę pod łokcia do nadgarstka. Cicho piszczę. Boli mniej niż przypalenie papierosem, ale mimo wszystko, to dalej rodzaj bólu.

Mocniej przyciska ostrze do mięśni, przez co głośno krzyczę.

A to dopiero początek...

Dostałam porządną lekcję tego, jak łatwo zmusić ludzi do mówienia. W ciągu godziny torturowania, czyli bicia, przypalania, nacinania i innych podobnych rzeczy, powiedziałam im o sobie wiele rzeczy, ale pominęłam jedną istotną. Moją moc.

Jestem przykuta do ściany i słucham jak kat znęca się nad Garedem. Chcę zatkać sobie uszy, ale ruchy moich nadgarstków są tak ograniczone, że nie sięgam nimi nawet do szyi. Zmuszają mnie do słuchania krzyków, jęków i błagań chłopaka, który tak naprawdę nic nie zawinił. Po prostu się ze mną przyjaźni.

- Zostaw go! To ja go namówiłam do ucieczki! – dostaję tak mocno w twarz od drugiego mężczyzny, który zjawił się tu kilka minut temu, że słyszę brzęczenie własnych zębów. – Zostawcie go!!!

Bat trzaska mnie po twarzy jak rozjuszony wąż. Prawy policzek pali mnie żywym ogniem, krew znów pojawia się na ciele. Jesteśmy tu zaledwie godzinę, a z każdej części mojego ciała sączy się posoka.

Gared obraca się w moją stronę i mówi cicho:

- Nie...

Robi mi się słabo.

Na całe szczęście, mężczyznom znudziło się pastwienie nad nami i wychodzą. Z ręki Gareda sączy się krew, plamiąc zimną podłogę. Kręci mi się w głowie, ręce się trzęsą, a ciało odmawia posłuszeństwa.

- Gared... - mówię ze łzami w oczach.

- Nic mi nie jest. To nic Phoebe, przeżyłem gorsze rzeczy. Widziałem śmierć najbliższych, moje własne cierpienie fizyczne jest niczym w porównaniu z tamtym.

Chcę się poruszyć, podejść do niego, ale łańcuch mi to uniemożliwia. Przez poruszenie się czuję ból w całym ciele. Jestem zbyt słaba by się teleportować, gdyby tego dokonała, uwolniłabym się i mogłabym pomóc chłopakowi, który ledwie żyje.

Jestem najgorszą przyjaciółką świata.

- Nie ruszaj się, Gared. Jak tylko trochę wydobrzeje teleportuję się i nas uwolnię. Wszystko będzie dobrze. Nie możemy tu umrzeć.

- Jesteś niepoprawną optymistką, Phoebe. I tak tu umrzemy, nic na to nie poradzisz, ale twój upór jest imponujący.

On już się poddał, wierzy, że jeśli umrze w słusznej sprawie, później, po śmierci wróci do rodziny. I to ja jestem niepoprawną optymistką. Jasne.

W gardle czuję dziwne pieczenie i w końcu (musiało się to stać) wymiotuję, choć nie mam, czym. Wszystko spływa w dół do utworu, a Gared sili się na żart.

- Jeden plus jest. Nie musimy chodzić do łazienki.

Zwracam posilek po raz kolejny, zdając sobie sprawę, że znajdujemy się w bardzo krytycznej sytuacji.

Trzymaj się, Phoebe. Niedługo was uwolnię. Tylko uwolnię sam siebie.

Jedna pozytywna myśl. Will żyje i wie, co się z nami dzieje. Może jednak nie umrzemy...

ROZDZIAŁ 4

„Najgorsze chwile w życiu to te, kiedy nic się nie dzieje, bo to oznacza, że zaraz trafi człowieka coś niedobrego.”

Noc czy dzień, wieczór czy poranek; nie wiem nic. Siedzimy tu od jakiś, możliwe, dwóch dni. Przychodzą tylko, by dać nam suchy chleb i wodę, od czasu do czasu, aby nam dać kilka porządnych kopniaków.

Czuję się jak śmieć.

Nic nie poprawi naszej sytuacji, nie licząc nagłego ataku jakiś wrogów. Ale na to, najwyraźniej się nie zanosi. Kilka razy słyhać było krzyk Willa, jego też torturują. Chcą nas zmusić do powiedzenia prawdy, ale ja nie powiem im już nic; w Infernum jest mój ojciec, nie wystawię go na pewną śmierć, tylko dlatego, aby uchronić się od śmierci. Prawdopodobnie i tak jej nie uniknę.

Nie mam siły na użycie mocy, jestem bezradna, nie mogę pomóc ani tacie ani Garedowi.

To tyle z bycia wybawcą świata. Nie nadaje się do tego.

Poruszam się niespokojnie, gdy Gared zaczyna z świstem wciągać powietrze. Jego zakrwawione ciało zaczyna poruszać się w konwulsjach, a ja nie rozumiem, co się dzieje.

Nagle, tuż przy nim, pojawia się Will, który zatyka mu usta (zapewne, by nie krzyczał).

- Nie drzyj się! Jak mnie zauważyłeś? Byłem niewidzialny, nie powinieneś mnie widzieć. Masz moc?

- Nie kojarzę, aby miał skłonności do mocy magicznych. Zauważyłem, że coraz więcej osób okazuje się być magiczne. Nie prawdaż?

- Prawdaż. Nie ruszaj się teraz. – brunet delikatnie macha ręką, a kajdany Gareda rozpinają się z trzaskiem. – Nie ma za co.

- Jest za co. Ale to nic Ci nie da, ja ani Phoebe raczej nie jesteśmy zdolni do ucieczki. Phoebe nie może się nawet teleportować.

- Załatwię to... - Will wyciąga ręce ponad Gareda, a za dwie minuty Gared stoi pełny sił i tylko krew świadczy o tym, co mu się stało. Will robi to samo ze mną; nie wiem, jak, ale czuję się pełna sił. Chłopcy uwalniają mnie od łańcuchów i stajemy razem; pełni sił i gotowi do ucieczki.

Miałam rację, możemy dać radę.

- Co teraz robimy?

- Phoebe nas przenosi. Ja już się napracowałem...

Uśmiecham się pod nosem, łapię ich za rękę i skupiam swój umysł na ich dłoni. Gdzie się przenieść? Może do Los Angeles? Albo do Europy.

- Przenieś nas za granicę Zakonu, potem pokażę wam, co jeszcze potrafię.

Robię, to co powiedział i już po kilku sekundach jesteśmy jakieś trzysta metrów od muru Zakonu.

Gared uśmiecha się wesoło, a ja wpatruję się w otoczenie. Nigdy nie zwróciłam uwagi, jak blisko Piątej Alei znajduje się siedziba Zakonu. Widzę stąd najwspanialsze apartamenty w Nowy Jorku, a to tylko początek jednej z najbogatszych ulic świata.

Do mojego umysłu wkrada się myśl, że może jednak nie zawiodę ojca, że dam radę sprostać zadaniu Ragnora. Ta myśl jednak szybko się ulatnia, Infernum jest tak samo zimną, bezduszną organizacją jak Zakon i nie pomogę im zniszczyć wszystkiego. Nawet powrót do taty nie jest tego wart, czasem trzeba wybierać między dobrem a dobrem albo złem a złem. Niestety czasem ten wybór jest ciężki dla obu stron.

Będę musiała teraz ukrywać się przed Infernum i Zakonem. Moje życie stanie się ciągłą ucieczką, sama nie jestem pewna czy jestem na to gotowa.

- Przenieśmy do Bety...

- Czego? – pytam zdezorientowana. Jaka Beta? Czy on postradał zmysły? Kolejna tajna organizacja z socjopatycznymi zapędami?

- Równoległego świata. Wszechświat ma wiele wymiarów, na razie odkryłem dwanaście. Każdy jest podobny do naszego, ale różnie potoczyła się historia. W Becie panuje ład i harmonia, choć świat jest jednym wielkim kontynentem. Jest jak na początku, ład nie podzielił się na różne kontynenty. Jedno państwo, jedna religia, jedno społeczeństwo. Harmonia jak filmach.

Patrzmy na niego, jakbyśmy widzieli ducha. Inne wymiary. A myślałam, że już nic mnie nie zaskoczy. Cóż za ironia...

- W Gammie Hitler wygrał wojnę i cały świat jest pod panowaniem Rzeszy. Ludzie są pod ciągłą kontrolą, uciskiem, cały czas się boją. To najgorszy wymiar. Resztę zaraz wam opowiem, tylko musimy się przenieść. Nie można przebywać w innym wymiarze niż własnym dłużej niż trzy godziny. Potem zaczyna się wariować i sam się dezintegrujesz.

Wariactwo...

- W Delcie światem panują istoty magiczne, to normalni ludzie są mutantami. To piękny wymiar. Dobrze, skupcie się teraz...

Obraz rozmywa mi się przed oczami, jak podczas teleportacji. Przenoszenie między wymiarami różni się jednak od zwyczajnego skakania po planecie. Czujesz się jakbyś stał się duchem i dryfował ponad ziemią, a wszystko inne staje się niedotykalne; nikt i nic nie może Cię dotknąć, tak samo jak ty nie możesz.

Upadam na ziemię, przywołana do niej siłą grawitacji. Nie czuję pod sobą zimnej, twardej kostki, zamiast niej jest trawa: intensywnie zielona jak na obrazach.

- Co to jest? – pytam w wielkim szoku. Moje oczy chłoną niezwykle widok zielonych stepów, jakie rozciągają się ze wszystkich stron.

- To jest królestwo zwane Terrą, czy po prostu ziemia po łacinie. Cudownie, prawda? Ludzie byli w stanie osiągnąć taki sam postęp technologiczny jak w naszym wymiarze albo nawet lepszy, tyle że nie zniszczyli świata. Można dokonać wszystko, jeśli tylko się chce.

- Miałeś opowiedzieć nam o innych wymiarach – Gared mówi to tak podekscytowanym głosem, że u mnie znów pojawia się taka sama ekscytacja jak na początku. Krajobraz staje się nieistotny.

- Dobrze, opowiem wam. W Epsilonie jest jak w Mezopotamii, ludzie nie rozwinęli się jak my. Są jeszcze w epoce brązu i powoli przechodzą na epokę żelaza. A jest tam ten sam rok, co u nas. Zeta to wymiar, gdzie na świecie panują dalej królowie,

prowadzać monarchię absolutną. Eta to... może resztę opowiem wam później, dobrze?

Kiwam głową, tak samo jak Gared. Chcę poznać ten wymiar, jest tak cudowny, że mogłabym tu zostać na zawsze. Jest tak zielono, natura jest taka nieskazitelna, a niebo niebieskie jak lazururowe morze.

- Musimy iść do miasteczka.

Miasteczko wygląda jak z bajki, nie licząc latających samochodów napędzanych... siłą wiatru? Tak to wygląda, ale nie mogę mieć pewności.

Sama droga do miasta zajęłam na piechotę około półtorej do dwóch godzin. Została nam godzina, ale ja nie chcę odchodzić; chcę tu zostać.

Will idzie na rynek, do starszej kobiety, która wygląda na zielarkę. Gestykuje parę razy, a kobieta uśmiecha się wesoło i daje mu małą sakiewkę. Trochę jak w średniowieczu.

Chłopak wrócił do nas, mając na twarzy lekki uśmieszek. Nie jestem pewna, czemu, ale coś musi być w tej sakiewce. Coś cennego.

- Zaraz będziemy musieli wracać do naszego wymiaru. Chcecie coś zobaczyć?

- Proponuję się rozerwać w barze, tu na rogu.

Podążam za chłopakami z lekkim powątpieniem. Czy oni naprawdę nie mają nic lepszego do roboty niż alkohol?

Phoebe, trzeba się rozerwać. Prawdopodobnie w naszym wymiarze Zakon już na nas czeka...

Te słowa przyprawiają mnie o dreszcze. Nie chcę po raz kolejny być torturowana. Jeden raz wystarczy, więcej tam nie wracam.

- Najpierw pójdziemy kupić jakieś ubrania. Wyglądamy jak bandyci w zakrwawionych ubraniach.

Will potrafi wpoić ludziom każdą beznadziejną prawdę i tym razem nie marnował swoich zdolności. Nie mieliśmy pieniędzy, więc wmówił ekspedientce, że nigdy nie było tu takich towarów jak dwie pary męskich spodni, damskie spodenki i trzy koszulki.

- Jesteś niesamowity, musisz iść ze mną kiedyś do kasyna – Gared jest tak podekscytowany, że nie wiem, co sprawia mu większą frajdę: to, że właśnie wziął sobie ubrania bez zapłaty (co zwyczajnie można nazwać kradzieżą) czy to, że może pić alkohol mając zaledwie siedemnaście lat (cztery lata przed pełnoletnością, powinien być z siebie dumny).

- Nie chodzę do takich miejsc, nawet w naszym wymiarze – uśmiech Willa jest zaraźliwy, więc ja i Gared również się uśmiechamy.

- Kiedy wracamy? – pytam niepewnie. Boję się powrotu do naszego świata, boję się Zakonu.

- Zaraz, tylko nie panikuj – mimo to panikuję.

Will łapie nas za dłonie, choć najpierw pochyła się w moją stronę. I wręcza mi sakiewkę.

- Kamień czasu. Gdy tylko dotrzemy do naszego wymiaru użyj go, zanim Cię zabiją, dobrze?

- Dobrze.

- Ślicznie, wymów tylko słowa *cofnij czas* i rok, do jakiego chcesz wrócić – całuje mnie w czoło i wraca do picia razem z Garedem.

Czuję, że jestem cała czerwona. Jestem zażenowana, że tak łatwo się czerwienię, ale muszę widzieć jakieś dobre strony tej sytuacji.

Jakie dobre strony, idiotko? Dostałaś jedynie kamień czasu, którego musisz użyć zanim Cię zabiją. Gdzie tu masz pozytywne strony?

Potrząsam głową, jakieś pozytywy muszę znaleźć, bo inaczej zwariuję i nic na to nie poradzę. Jestem bezsilna wobec czasu, ludzi, wszystkiego!

Zaczyna kręcić mi się w głowie, co nie jest raczej dobrym znakiem. A co jeśli zaraz się zdezintegruję? Nie pomogę wtedy nikomu. Tacie, Willowi, Garedowi. NIKOMU!

- Kręci mi się w głowie – Gared wypowiada te słowa, w tym samym czasie, w którym ja chcę się odezwać. Ma błyszczące oczy; on jest pijany!

- Upiłeś go!

- W naszym wymiarze będzie całkowicie trzeźwy. Podajcie mi rękę...

- Ale tak przy wszystkich? – ogarniają mnie wątpliwości. A co jeśli się coś nie uda? Jeśli rozpadnę się między wymiarami i wrócę do domu tylko jako głowa?

Jestem idiotką! Jeszcze niedawno nie miałam tylu wątpliwości.

Jeszcze nie dawno nie groziła mi śmierć. Albo nie zdawałam sobie sprawy, że jakkolwiek mi grozi.

- Tak, przy wszystkich. Raz, dwa...

- Trzy... - wypowiadam cicho. Znów czuję te dziwne uczucie; jestem jak duch, postać, której tak naprawdę nie ma.

Łąduję kolanami na zimnym bruku, tak samo jak moi towarzysze. Widzę kilkanaście par ciężkich buciorów obok mojej głowy. Will miał rację, oni już tu są. Wiedzieli, gdzie wylądujemy.

- Kto by pomyślał, że Andrea będzie tak użyteczną zdobyczą. Jej moc jasnowidzenia rośnie w siłę, nie uważasz Will?

- Uważam.

Markus stawia krok w naszą stronę, mocno naciskając na mój nadgarstek. Przygryzam dolną wargę, by nie wrzasnąć. Mężczyzna łapie mnie za brodę, ściskając ją mocno, przez co muszę patrzeć mu w oczy.

- Zakała z Infernum. Grzeszne stowarzyszenie, sługusy szatana. Chwyliwa nazwa. *Infernum*, piekło. Piekło, które zgotujecie na ziemi, gdy tylko Will wpadnie w wasze ręce.

Przełykam ślinę. Chcą mnie zabić, ale przeciągają to możliwie jak najdłużej.

- Nigdy na to nie pozwolę! Nie wykorzystacie mnie ani wy ani Infernum.

- Zobaczymy, co powiesz, gdy zabijemy twoich przyjaciół.

W pierwszej chwili mam wrażenie, że zaraz przebije mnie nożem, ale to nie ja dostaję. Gared (znów on pierwszy; chcą, żebym bardziej cierpiała przed śmiercią) pada na ziemię z długim sztyletem wbitym w pierś. Widzę jak robi się blady niczym papier, a życie powoli z niego uchodzi. Jest jak motyl przyszpilony do tablicy, jedyne, na co może teraz liczyć to szybko śmierć.

Wrzeszczę jak zarzynane zwierzę, nie chcę, żeby zginął. Nie może umrzeć.

Najdelikatniej jak potrafię (żeby nie wzbudzić niczyich podejrzeń) wkładam rękę do kieszeni i otwieram sakiewkę.

Kamień czasu...

Patrzę na Willa, w tym samym momencie, gdy on spogląda na mnie.

Użyj kamienia czasu, zmień przeszłość, aby twoja mama nie zmała, tata nie dołączył do Infernum, żebyś nigdy nie musiała być w Zakonie. Żebyś nigdy mnie nie poznała.

Ale Will...

Prowadzimy konwersację, której nikt nie słyszy. Nikt nie może wiedzieć, co chłopak mi przekazuje.

Cicho! Będziesz mnie pamiętać, ale nigdy się nie spotkamy. Tylko ty będziesz znała przyszłość. I ja. I tylko my będziemy mogli ją zmienić. Ja się zabiję, aby nie mogli mnie wykorzystać. Będziesz to czuła, pewnie rodzaj magii zniknie, każdy magiczny to wyczuję. Bo to ja jestem waszym początkiem...

Nic nie odpowiadam, jestem w zbyt wielkim szoku. Cała magia pochodzi od jednej osoby. Pierwszej magicznej osoby na świecie.

- Teraz twoja kolej... - Markus wbija mi sztylet w pierś, a ja padam, tak jak Gared, na zimną kostkę.

Will ma przerażoną minę, ale jest w stanie wymówić głośno to jedno słowo. Najważniejsze słowo, jakie teraz się liczą.

- Teraz...

Markus i cała jego brygada robią przerażoną minę...

- Co się dzieje? Co?

- Cofnij czas. Rok 2010...

Wszystko rozplywa się wokół mnie, cały świat wraca do przeszłości. Przeszłości, gdzie mama żyje, jestem z rodziną, nie jestem w Infernum, nie znam Willa, Owena, Gareda. Czas, gdzie wszystko jeszcze było proste, a życie było tylko słodkim spacerem przez świat. Czas, w którym nie poznałam jeszcze moich przyjaciół.

EPILOG

„Trudno zrozumieć, że porażka daje czasem więcej niż wygrana”

Czasem postrzegamy świat jako miejsce pełne cierpienia, bólu i życiowych niepowodzeń. Jednak warto spojrzeć na optymistyczne aspekty naszego życia, bo może tak naprawdę śmierć nie oznacza naszego końca? Może całe nasze życie jest tylko małym etapem wśród naszej dalszej drogi? Życie może nie zawsze jest takie, jakie sobie wymarzyliśmy, nie wszystko idzie po naszej myśli, ale wiem, że pewnego dnia wszystko może obrócić się o sto osiemdziesiąt stopni i zmienić się na lepsze. *Porażka nie zawsze jest gorsza niż wygrana...*

Ja w końcu to zrozumiałam. Może mój przyjaciel zginął, może moi dwaj przyjaciele w ogóle mnie nie znają, ale ja wiem jedno. W końcu moje życie wróci do normy.

Znów mam trzynaście lat, zmieniłam przyszłość. Moja mama nie umrze, nie dołączę do Infernum, ale jest też zła strona medalu... Willa już nie ma. Odszedł, zostawił mnie... tak jak obiecał. Gared też ma trzynaście lat, ale zapewne dalej mieszka z rodziną w swoim miasteczku, które nie zostanie zniszczone, Owen... ma szesnaście lat i żyje swoim życiem. Nie znają mnie, ale chyba tak jest lepiej.

Czasem łamanie zasad jest dobre. Szczególnie, gdy nie dopuści się do katastrofy, która niszczyła Ci życie. Teraz nie wiem jak będzie wyglądać przyszłość. Na razie mogę tylko opłakiwać stratę przyjaciół i cieszyć się z tego, że jestem z rodziną.

Nie zawsze w życiu dostaje się to, czego się chce. Gdy zyskuje się jedno, traci się drugie.

Ale gdy dostaje się od życia drugą szansę, czasem warto zawalczyć. Nawet, gdy wiesz, że to, co miało być już się nie zdarzy.

Warto ryzykować.

Szczyćcie nie przyjdzie samo, trzeba o nie walczyć, bo inaczej stoi się w miejscu.

„Nigdy nie rezygnuj z osiągnięcia celu tylko dlatego, że osiągnięcie go wymaga czasu. Czas i tak płynie.”

H. Jackson Brown Jr.